

# PLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec*

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 30 MAJA 1951 ROKU.

NR. 22.

TREŚĆ NUMERU: Matka — *M. Benisławska*. Nieśmiałość a życie — *Zofja Dzieciolowska-Brykalska*. Konwalja (nowela) — *Zuzanna Melicka*. W paryskiej Sofjówce — *Aura Wyleżyńska*. U Colette — *Jadwiga Kiewnarska*. Trzeba dopomóc zawczasu — *N. J.* Z życia ekranu — *Stef. H.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Wakacje matki i pani domu — *M. Dobrowolska*. Zamiejskie wycieczki — *J. Prazmowska*. Mrówki — mole — myszy — *J. S.* Piętnaście procent — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty“.

## M A T K A \*)

W życiu obecnym, kulturalnym, macierzyństwo się skurczyło. Pomimo, że wiek nasz zowiemy „wiekiem dziecka“, dziś dziecko jest poniekąd gorzej sytuowane w rodzinie, niż było nawet przed niedawnymi, nie sięgającymi wstecz o pół wieku, czasami.

Przedewszystkiem kobieta wyszła z domu rodzinnego. Wyszła z niego, nietylko umysłowo i moralnie rozszerzając krąg swych zainteresowań poza rodzinno-domowe sprawy, ale wyszła z domu, wygnana z niego koniecznością zarobkowej współpracy z mężem dla utrzymania rodziny.

Cywilizacja jednak, skierowując rozwój życia społecznego ku coraz bardziej zróżniczkowanemu podziałowi pracy, bardzo czynnie zakrzętnęła się dziś koło sprawy dziecka i matki, uznając konieczność przyjscia im z pomocą. Bezdeń pracy i moc inicjatywy wnieść tu musi jeszcze kobieta, ale i dziś już początek jest zrobiony i dążność do roztoczenia koniecznej opieki kulturalnej społeczeństwa nad dzieckiem bardzo wyraźnie się zarysowuje.

Opieka ta jednak, choćby z czasem doskonaląc się, sięgnąć mogła do chwili odłączenia dziecka od piersi matczynej i stworzyć dziecku poniekąd sztuczną rodzinę, zamiast zanikającej rodziny naturalnej, nie powinna dążyć do zupełnego oderwania się dziecka od gniazda rodzinnego, nie powinna zubożyć duszy ludzkiej o jedno z najgłębszych podwalinowych uczuć: o miłość dziecka dla rodziców i rodziców dla dziecka. Kobieta, jako matka, przy dojściu do pełni swych praw ludzkich powinna wysoko cenić swą misję rodzicielki i ona to przedewszystkiem, ludzką miłością wyprzedzając nieurodzone jeszcze swoje dziecko, powinna wpiętych zapytać siebie, czy ma dane na to, aby

życie było dlań błogosławieństwem, czy sama czuje się na siłach przez wychowanie przystosować dziecko swoje do warunków życia społecznego tak, aby nowy człowiek stał się cennym nabytkiem, nie zaś skrzypiącym, niedostosowanym i szarpanym przez inne tryby, kółkiem maszyny.

Pełne poczucie odpowiedzialności rasowej i społecznej — to jeden z zasadniczych walorów, jakie przynieść musi rodzajowi ludzkiemu wgląd życia wrastająca kultura. Należy się spodziewać, że kobieta wyzwolona, ustalając swój nowy typ, nie dozwoli już, aby wśród odpowiednich ludzi na odpowiednim miejscu, wśród przygotowanych do spełnienia swej misji fachowców — tylko matka była dorywczą pracownicą, poczynając chaotycznie myśleć o swem zadaniu dopiero w chwili, gdy już przed niem stanęła.

Na tem podłożu świadomości zarówno praw, jak i obowiązków, narodzi się nowa miłość macierzyńska, zrzekająca się i zarzekająca swej żywiołowości i uznanej, jako prawo, ślepoty; przeciwnie: miłość jasnowidząca i najbardziej ludzka.

Kobieta kulturalna zrozumieć musi, że jej macierzyńska miłość, tak, jak woda i ogień, jest niezastąpionym sługą, ale może stać się fatalnym panem, zupełnie uczucia swoje obręczyć rozsądku, a wtedy i ona sama i jej otoczenie przestanie wierzyć, że praca dla dziecka może być improwizacją instynktu, który ma prawo być ślepym i przez to samo cieszy się pełnią przywileju nieodpowiedzialności. W żadnej pracy nie śmiałyby pracownik — wrażliwy wykazany mu niedo-

\*) Na zakończenie „Tygodnia Dziecka“ obchodzony jest uroczystie „Dzień Matki“ w d. 31 maja.

kładności—tak spokojnie przytoczyć na swe uniewinnienie: „nie wiedziałem“ — (że tak trzeba, że tak nie można) — „nie miałem o tem pojęcia!“ — a przecież jest to tak częste usprawiedliwienie w ustach współczesnej młodej matki, absolutnie do fachu swego nieprzygotowanej ani moralnie, ani umysłowo, ani praktycznie.

Kobieta kulturalna musi się zrzec — i niewątpliwie zrzec się może — niepoczytalności wobec rzekomej przewagi ślepego instynktu, o ile pojmie, że do pracy macierzyńskiej, jak do każdej innej, trzeba się teoretycznie i praktycznie przygotować; że tu jeszcze więcej, niż na innem polu, nie wolno się kierować doraźnością i improwizacją. Obecnie już coraz częściej, choć jeszcze nie nagminnie, spotykamy matki, dokształcające się czytaniem pism fachowych, poszukujące samorzutnie wiedzy, której im nie dano, a która okazała się w życiu niezbędną.

Jednak chodzi tu nie o samą tylko wiedzę w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz i o rozumne jej zastosowanie, a tego pierwszym warunkiem jest opanowanie siebie. Opanowanie się nie przychodzi nam jednocześnie z wiedzą teoretyczną. Zrozumienie jednak źródeł instynktu, a zarazem orientacja w całokształcie zadania macierzyńskiego dzielnie dopomóc może w tem właśnie okiełznaniu go i ukulturalnieniu.

Na innem polu pracy chwilowe zaniedbanie wywołać może tylko uszczuplenie plonu, co da się wyrównać wzmoczoną energją w następnej chwili. W wychowaniu dziecka jest tak, jak gdyby się toczyło ciężki kamień pod górę: jedna chwila bezczynności, jeden fałszywy krok — i kamień, bliski szczytu, stoczy się zpowrotem na dno przepaści. Dlatego tak niezbędnym warunkiem powodzenia jest tu właśnie jednolitość i ciągłość wysiłku.

Hasłem kobiety-matki jest przeto *moc*, nie słabość. Istota moralnie, czy fizycznie słaba nie nadaje się na matkę: będzie tu ona nieodpowiednim człowiekiem na nieodpowiednim stanowisku.

Na pociechę jednak tych, nie nazbyt hojnie pod tym względem obdarzonych przez naturę, należy zaraz dodać, że głębokie uczucie, o ile niem mądrze pokierować zechcemy, jest samo w sobie motorem nieobliczalnej wprost potęgi; a z drugiej strony, nawet nieduże zasoby przyrodzone, przy odpowiedniej kulturze, możemy znakomicie rozwinać i uwielokrotnić, zarówno w zakresie fizycznej sprawności, jak i mocy moralnej. Niema lepszego środka na pomnożenie swoich możliwości, jak wiara we własne siły; żeby jednak ta wiara w konieczność i w możność podolania obowiązkom matki stała się mocnym fundamentem w duszy młodej kobiety, należałoby się postarać o odpowiedni nastrój całego otoczenia.

Przedewszystkiem już od samego początku, przy pierwszym dziecku otoczenie miewa przesadną tendencję do uważania kobiety, w czasie najnormalniej odbywanego połogu, za istotę ciężko chorą, co nie tylko jest błędem, ale błędem bardzo szkodliwym.

Jest to właśnie chwila obudzenia się w duszy rodzicielki instynktu, który szuka naturalnych dróg wyładowania swej energii, pragnie czynu, a oto wszyscy dookoła, z nadmiaru troskliwości o chorą, w poszukiwaniu idealnych warunków odzyskania zdrowia po „katastrofie“ porodu — dążą do jaknajściślej odizolowania matki od dziecka, którego krzyk nie powinien dojść jej uszu; jednocześnie jednak dopuszczają do niej całą falangę ciekawych i współczujących wizytantek, z którymi rozmowa istotnie a niepotrzebnie denerwuje, rozprasza i podnieca położnicę.

O wiele lepiej byłoby w tej epoce, niezmiernie ważnej dla psychiki kobiety, pozostawić ją, przy najtroskliwszej zresztą opiece, w bliskim z nowonarodzonym maleństwem kontakcie; ona zaś sama zaraz od początku powiedzieć sobie musi, że staje wobec nowych obowiązków, które będą wymagały poświęcenia, umiaru i spokoju wewnętrznego. Spokoju tego szukać o wiele bezpieczniej i praktyczniej na drodze raczej opanowania się, niżli usuwania zewnętrznych przyczyn niepokoju. Niech właśnie instynkt działa, niechaj ustala się i jednocześnie niech się przetwarza w ludzkie, głębokie uczucie.

Młoda matka, pozostawiona w spokoju ze swem dzieciątkiem, niech uświadomi sobie, że budzący się w niej instynkt, sięgający swem pochodzeniem w czasy prabytu, niesie w sobie pewne surowe elementy, które usunąć lub przetworzyć będzie naszym obowiązkiem, naszym ludzkim zadaniem.

I tak instynkt macierzyński, jako powstały na podłożu wcale nieidyllicznego bytu na łonie natury, zięjącej grozą dla wszystkiego, co słabe, zawiera w sobie przeważający element trwogi, która dziś jest najczęściej zbędnym, albo nawet szkodliwym przeżytkiem, możliwym do usunięcia przez rozum.

Dalej elementem pierwotnego instynktu jest jego egoizm i wyłączność: *moje* dziecko. Stąd właśnie skłonność do zaślepienia, które jednak ani przez matkę, ani przez jej otoczenie nie powinno być uważane za uprawnione moralnie. Podobnie ma się rzecz z wyłącznością: *tylko* moje dziecko. Współzycie z innymi matkami i ich dziećmi da rozumnej kobiecie pole do szerszej obserwacji i porównań bezstronnych. Od wyłącznej miłości dla własnego dziecka, przeradzającej się niekiedy w wyraźną nieprzychylność dla dziecka obcego, przejdzie kobieta uspołeczniona do miłości dziecka wogóle, a obok praw, radości i cierpień swego macierzyństwa wyczuje też prawa, radości i smutki innych matek.

Najtrudniejsze jest, oczywiście, opanowanie — praktyczne w każdej okazji stosowanie tego, co teoretycznie uznało się za słuszne. Trudność jednak w znacznej mierze pochodzi z autosugestji i sugestji otoczenia; wszyscy zanadto przywykliśmy uważać pewne impulsy „naturalne“ za nieprzezwycone i przez to właśnie stają się one nieprzezwycone.

Cheąc utrzymać u kobiety wszystkie walory instynktu macierzyńskiego i chcąc stworzyć na jego podkładzie nowy typ ludzkiej, mądrej miłości macierzyńskiej wśród nowopowstałych warunków rodzinnych — musimy z jednej strony żądać od kobiety-matki wysokiego poczucia odpowiedzialności, oraz

psychicznego i praktycznego przygotowania do macierzyńskiej służby; z drugiej — żądać również i od społeczeństwa, by matkom przychodziło z wydatną pomocą, tak, aby mogły one tym swoim zadaniom, o olbrzymim znaczeniu społecznym i narodowym sprostać i z obowiązków swoich rzetelnie się wywiązać.

M. Benislawska.

## NIEŚMIAŁOŚĆ A ŻYCIE

Moda rozpychania się w życiu łokciami autoreklamy, posuniętej do bezczelności, stała się „po wojnie“ zjawiskiem tak nagminnym, że — zdawałoby się — niema miejsca na nieśmiałość i na ludzi nieśmiałych. Tak jednak nie jest: są łokcie rozpychające, więc są i potrącani, są ustępujący.

Z pośród tych ostatnich większa część są to ludzie nieśmiali, ustępujący nie z przekonania, a właśnie wskutek *nieśmiałości*, braku odwagi, śmiałego reagowania na brutalność ludzi, lub brutalność życia. Ta brutalność ich razi, rani nawet, ale nie mają odwagi wypowiedzenia jej walki. Ustępują, wycofują się; zdawałoby się, że są zażenowani samym faktem swego istnienia.

Nieśmiałość jest cechą charakteru nieobojętną ani pod względem praktycznego życia, ani etyki, gdyż wpływa bezpośrednio na nasze czyny. Człowiek nieśmiały popełnia różne czyny dobre, czyny złe, czyny moralnie obojętne, czasem bohaterskie — właśnie na skutek swej nieśmiałości. I odwrotnie: nie popełni nieraz czynu dobrego lub złego z tegoż powodu. Człowiek nieśmiały milczy wówczas, gdy cała dusza w nim protestuje przeciw temu, co się wokół niego dzieje; przytakuje słowom, które w nim wstręt budzą; zaprzecza, zapiera się rzeczy, które w głębi duszy za świętość uważa. Nie jest sobą. Jest w ciągłej rozterce. Ciągłe się czegoś boi, ciągle jest strwożony.

Człowiek nieśmiały jest skryty, nie ma odwagi wykazania swych wartości. Jest *sam*, i najczęściej jest nieszczęśliwy. Gdyby miał tysiąc wartości pierwszorzędnej wagi, żadna z nich nie wykaże się czynem, gestem lub słowem. Chyba... w chwili wybuchu jakiejś namiętności, która odkryje zakonspirowaną duszę. Jest to szczerłość pod presją, z konieczności, szczerłość zdeterminowana.

Przecież takie życie jest męką! Cóż mi z tego, że nieśmiałość cechuje zwykle umysł refleksyjny, intelekt bogaty, duszę wrażliwą i piękną? Cóż mi z tego, gdy umysł ten nigdy się nie wypowie, intelekt nie objawi, dusza nie odkryje? Dla otoczenia te piękne cechy pozostaną zawsze nieznanne, a pod obserwację przeciętnego widza podpadną takie zjawiska, jak: rumieniec, gdy go nie potrzeba, łamanie sobie z alternacji palców, chód — rozstap się ziemio! drżenie, trema, zbyt głośne mówienie, odzywanie się ni w pięć, ni w siedemnaście...

Cóż mi z tego, że i Rousseau, i wielu innych ludzi nauki, genjusze — byli też nieśmiali? Ich genjusz przebił w jakimś miejscu skorupę nieśmiałości i wydarł się na świat mocą swej siły twórczej, piórem, pen-dzlem, myślą, dłutem. Cóż mi z tego?

Niekiedy np. na zebraniu widzę, że ot—ta pani z drugiego rzędu ma jakąś myśl, płonie cała, by się wypowiedzieć, a milczy! Kręci się niespokojnie, już... już... Ale nie! Głos zabiera inna, przez 5 minut popisując się erudycją, lub plotąc od rzeczy, a ta uspokaja się powoli, gaśnie; nikt się nie dowie, jaką miała myśl, może słowa jej zadecydowałyby o wyniku obrad. Nikt się nie dowie... najwyżej sąsiadka z lewej, czy prawej strony.

Nieśmiałość męczy i otoczenie i daną osobę. Należy się jej wyzywać i *można* to zrobić przy pewnym wysiłku wszystkich władz duchowych. Najłatwiej w dzieciństwie, ale można i w wieku dojrzałym.

Podczas wojny, jako 14-letnia dziewczynka, wracałam ze spaceru polami, zostawiając drogę na boku. Na wzgórzu ukazało się 3-ch jeźdźców-okupantów — z błyszczącymi półksiężycami na bohaterskich piersiach. Jechali stępa. Gdy zobaczyli siostrę, z którą szłam i mnie, puścili się galopem i, mając całe ugory do użycia przejażdżki, skierowali konie na nas. Ziemia tętniła pod kopytami olbrzymich perszeronów, które brzuchami zamiatały ziemię. Siostra odskoczyła. Mnie... lichy wzięło! Założyłam ręce na krzyż, stanęłam twarzą w stronę jeźdźców... po obu moich bokach przemknęły dwa konie. Zanim pęd powietrza ustał, leżałam zemdlona. Nigdy w życiu nie byłam bardziej przerażona, jak wówczas, i nigdy nie popełniłam większego bohaterstwa (szkoda, że nie produktywnie, a tak scenicznie).

Nieśmiałość opanować można.

Gdy raz zdamy sobie sprawę ze szkód, jakie nam w życiu zawodowym, społecznym, towarzyskim i rodzinnym przynosi nieśmiałość, wystarczy akt woli i praca nad sobą, konsekwentna i celowa, by uwolnić się w parę miesięcy, czy lat od szkodliwej wady.

Znam kobietę bardzo nieśmiałą, która ma tremę zawsze i wszędzie, ale proszona o zagranie czegoś w towarzystwie, czy nawet publicznie, siada do fortepianu bez cienia tremy. Dlaczego? Od dziecka, z polecenia nauczycieli, zmuszana była do grania na poran-

kach i dla gości nawet wtedy, gdy umiała tylko: „Wlaził kotek na płotek“, czy sonatinę Kuhlau'a.

Nieśmiałość najłatwiej zwalczyć u dziecka, które nie zna jeszcze potęgi złośliwych sądów ludzkich, ani krytycznych uwag domorostłych badaczy życia.

Dorośli mogą opanować nieśmiałość przez opanowanie zewnętrznych jej objawów, odruchów, zeszywnień duchowych, czy fizycznych. Czemże jest np. tak zwane obycie, jeżeli nie opanowaniem nieśmiałości? Człowiek nieobyty, o ile nie jest wprost źle wychowany, jest tylko nieśmiały.

Na samopoczucie, szczególnie u kobiet próżnych lub tylko... mających ambicję podobania się, świetnie wpływa odpowiedni strój. Wszystkie znamy z doświadczenia lub obserwacji, jak niezręczną, nie-

śmiałą jest osoba źle ubrana, jak silnie wpływa na zachowanie się zniszczona torebka przy nowej sukni i t. p. Ta sama pani, gdy już sobie skompletuje toaletę, na następnym raucie będzie swobodna, wesola i ładna. Nieśmiałość może stać się nawet przyczyną nie-szczęścia. Może np. podyktować „tak“ w okolicznościach, gdy koniecznie trzeba powiedzieć „nie“ — i cały bieg życia wykoszlawia się i wypacza.

Kobieta nieśmiała może łatwo stać się jednostką szkodliwą. Nieśmiałość pensjonarki ma dużo wdzięku, nieśmiałość kobiety dojrzałej staje się śmieszna i często krzywdząca. Życie należy do ludzi odważnych. Miałabym nieraz ochotę dokonać takiego doświadczenia: stopić w jedno ludzi bezczelnych i ludzi nieśmiałych. Otrzymałabym kryształ: ludzi odważnych.

Zofja Dzieciolomska-Brykalska.

## K O N W A L J A

(n o w e l a)

2)

Reklama świetlna, rysująca się najciemszą czerwoną nicią na czernem tle, dygotała, jak rozjątrzony nerw. W powietrzu, sinem od mrozu, drżał napięty niespełniony pocałunek.

Na Wiškę znów napadły wspomnienia:

Było wtedy tak samo zimno, w stężale powietrza migotały gwiazdy nisko, jak brylantowe ćwieki. Jechali sankami w stronę Tylicza. Góral zawodził tęskną juhaską pieśń. Było cicho i białe.

Towarzysz Wiški ujął jej zgrabiałe rączęta w dłonie bez rękawic i, rozcierając je pieścizliwie, mówił — pierwszy raz poważnie:

— Niech pani na długo zachowa czar swoich dziewiętnastu lat, panno Wisiu! Pani niewinność — proszę mi wybaczyć, że głośno o tem mówię — ma w sobie nieświadomy wdzięk i onieśmielającą powagę. Przypomina pani taki śliczny a skromny kwiatusek, rosnący w cieniu paproci... Proszę, bardzo proszę nie zapominać o k o n w a l j i...

Dłoń Wisi zamknęła mu usta.

A nazajutrz był Sylwester. Szalony wieczór, strzelający korkami szampana, darty synkopami wrzaskliwych jazz-bandów. W lodowatą biel i ciszę nocy górskiej wdzierały się strzępy muzyki, kaleczyły jaskrawe światła. Dzwoniły sanie. Dudnił tętent koński po zmarzłym śniegu.

W „Romie“ pili gorący grog. Wiszące naprzeciw siebie lustra powtarzały nieskończoną ilość Wisiek — z rozwichrzoną fryzurą, z jarzącymi oczyma, z wypiekami na twarzy — wznoszących w górę „...nasty“ kieliszek mrożonego „Château Yquem“.

Doktór Jerzy — tym razem nie w jaskrawym sweatrze, lecz w nienagannym fraku — tulił ją ramieniem — już nietylko opiekunem — w takt namiętatego tanga, i Wiška, oszołomiona winem, nuciła półgłosem słowa piosenki:

„...Na jedną noc...“

Jerzy uśmiechał się surowo — a może tylko udawał marsa? — i niemal przemocą skłonił pewną starszą panią, by odwiozła Wisię do pensjonatu. Ułożona do snu, jak małe dziecko, zasnęła natychmiast i obudziła się — następnego roku w samo południe.

Na nocnym stoliku stał koszyczek — misterne gniazdko ze skalnych odprysków — wysłane mchem, z którego wykwiwały dzwoneczki pachnącej konwalji.

Obok — wizytówka: „Dr. Jerzy Floks, Warszawa, Plac Napoleona 11, tel. 18-19“ — i kilka słów, skreślonych mocnym, męskim charakterem pisma:

„Niechaj subtelna woń tych kwiatów będzie jak najczulsza pieszczota mych stęsknionych dłoni“.

Ofiarodawca — jak się Wiška w godzinę potem dowiedziała — wyjechał tegoż ranka, bez pożegnania. Przez cały dzień Wiška była wzruszona i troszkę zła: „paskudny! uciekł tak nagle“... — a potem przyszedł jeszcze jakiś wieczór, znów dancing — znów od rana bobsleigh, sameczki, narty. Jak długo zresztą można się martwić, gdy się ma dziewiętnaście lat i króciutki, dwutygodniowy urlop?!

Ale teraz — w Warszawie, po powrocie, Wiške zrobiło się wstyd, że tak niewiele miejsca zabrał w jej myślach miły pan Jerzy. Zapragnęła go zobaczyć. I to zaraz, natychmiast! Nie wracać do domu — pójsz z nim na daleki spacer — albo nie! w małej, cichej kawiarence pogwarzyć nad czarną kawą o dobrych krynickich czasach. I ślicznie podziękować za konwalje. Bo to nietylko kwiaty, ale i symbol. Ale jak podziękować? Najlepiej — także posłać troszkę kwiatków. Na przywitanie. Nie namyślając się dłużej, Wiška weszła do kwiaciarni.

— Poproszę o trzy czerwone róże. I kilka gałązek konwalji. Odeśle pani zaraz — ale koniecznie zaraz! — pod ten adres.

Wiśka ma wszystkie swoje skarby w torebce. O, jest tam i wizytówka Jerzego. Wyjmuje kartkę, kładzie na stole i na własnej wizytówce pisze:

„W mej pamięci o Panu jest zawsze miejsce na kwiaty“.

A pod spodem:

„Chcę pana zobaczyć. Czekam w cukierence — Wiśka zastanawia się przez chwilę, włożyła nawet obsadkę do ust — na placu Teatralnym, do 9-ej Konwalja“.

Jakie piękne, jakie niepokojące są te czerwone storczyki!... Wiśka, zapatrzona w niepowszedni kształt kwiatów, mechanicznie bierze jedną z kartek, leżącą na stole i wkłada do koperty, a drugą chowa do torebki. W szeleszczącej bibułce łodyżki, ujęte w pasek lśniącej cynfolji. Inaczej wyglądają kwiaty wazonie, a inaczej w opakowaniu. Sztywnie. Uroczyście.

— Proszę mi przypiąć do palta jedną gałązkę konwalji. Dziękuję pani.

Sprzedawczyni kwiatów — miła, jasna blondyneczka — uśmiecha się przyjaźnie do Wisi:

— Już odsyłam z liścikiem, proszę pani. Plac Napoleona, tak?...

Nad filiżanką wystygłej czarnej kawy siedzi Wiśka i czeka. Olbrzymia szyba kawiarni pokryta jest szronem i malowana w srebrne palmy. Ludzie wchodzą, wnoszą zimno z ulicy, trzaskają drzwiami, dyszą śmiesznymi kółkami pary.

Wśród gęstego dymu papierosowego przewijają się kelnerzy. Za ścianą bez przerwy dzwoni telefon. Zegar na ratuszu wybił dziewiątą. Nogi ziębną w nieruchomej pozycji. W pół do dziesiątej. Minuty stąpają oszczędnie, rozwlekając torturę czekania.

A Wiśka czeka uparcie.

Wreszcie, po jeszcze dziesięciu bezowocnych minutach, Wisia nagle wstaje zdecydowana. I dziwi się sobie, że tak późno wpadła na ten pomysł:

— Zatelefonuję do niego! Właściwie, od tego należało zacząć! Może jeszcze nie przyjechał, może nie może wyjść z domu? Może... chory?

Nic prostszego: na wizytówce, obok adresu, był przecież i numer telefonu. No, tak, z pewnością. Ale gdzież się ta kartka zawieruszyła?

Palce Wisi szperają niecierpliwie we wnętrzu torebki i wreszcie wysypują zawartość na stół: grzebyk, puderniczka, klucz od mieszkania, ołówek, bilet tramwajowy, notes — ach, jest!

Wiśka rzuciła okiem — i zmartwiała.

W przeciągu jednej sekundy uświadomiła sobie nieporozumienie — przez omyłkę, przez to nieszczęsne zagapienie się na orchideje — odesłała *otrzymaną* wizytówkę, zamiast *napisanej* pod adres doktora Jerzego Floksa. Wichrem przeleciało jej przez myśl wspomnienie o jakimś panu Pszczole, który list, przeznaczony dla narzeczonej (rodzice słyszeć nie chcieli o tym związku), włożył do koperty, zaadresowanej do rodziców, a list do rodziców — odesłał narzeczonej. O pew-

nym roztargnionym adwokacie, który egzemplarz autorski pracy naukowej posłał z czułą dedykacją sędziemu w Grodnie — zamiast do siostry w Genewie, jak zamierzał.

Tragikomiczne pomyłki — zabawne tylko dla obserwatorów, lecz nie dla poszkodowanych!...

Wiśka nerwowo wertuje książkę telefoniczną:

— Hallo, czy to 18-19?

— Tak jest.

— Czy mogę mówić z panem doktorem?

— A kto prosi?

(Długa chwila pauzy...)

— ...znajoma.

— Domyślam się!... Nieznajome nie dzwonią! Ale — nazwisko?...

(Jaki niemiły, natarczywy jest ten damski głos!... Wiśce zasycha w gardle).

— Ach, tak?... Więc pani milczy? Rozumiem... (głos przechodzi niemal w syk...) To pani... to pani odsyłała dziś kwiaty!... To szantaż, poprostu szantaż!...

Nigdy w to nie uwierzę, że mój mąż posyła komuś kwiaty z równie czułą wizytówką!... Podrobiono jego pismo!... Paszkwil! (głos łamie się na wysokich nutach)... Pani milczy? Nie próbuje się pani nawet bronić?... Proszę przyjąć do wiadomości, że brzydzę się anonimami!

— Ale nie brzydzi się pani otwierać cudzych listów! — szarpnęła się Wiśka z pasją.

— Listy mojego męża są moją własnością!...

Trzask — po tamtej stronie aparatu powieszono słuchawkę.

Wszystko można wybaczyć mężczyźnie, prócz tchórzostwa. Dlaczego nie powiedział, że jest żonaty?..

Poniżenie — bunt — żal — gniew — niesmak — kłębią się w myśli Wisi. Marzenie o czystej, niewinnej radości spotkania — wdeptane w błoto. Drobnym śnieżek bije prosto w twarz. Dwie gorące łzy zawisły u rzęs. Niepotrzebne, bolesne. Wiśka bezradnie stoi na ulicy. Dokąd pójść? Ciężar samotności stał się jeszcze bardziej dokuczliwy, odkąd w duszy narosło poczucie przegranej. Wrócić do domu?... Och, tylko nie to!... Zimny, nieopalony pokój, maszynka spirytusowa, nieprzytulny, obcy kąt, gdzie nikt nie czeka. Na całym świecie nikt nie czeka. Nikt.

...Czyżby doprawdy: nikt?... A ciepły, serdeczny głos?... A gorące, nienasycone spojrzenie?...

Kilka kroków naprzód. Taksówka? Dobrze. Tak, najlepiej, najrozsądniej wrócić jednak do domu.

Wsiada do auta.

Szpilka, którą przypięta jest zbyteczna już gałązka konwalji, zadrasnęła policzek. I ból ten przypomniał, jakby uzmysłowił ból i gorycz zawodu.

Nagle — niespodzianie dla samej siebie — zduszonym, nieswoim głosem Wiśka rzuca szoferowi adres:

— Moniuszki 2.

Zuzanna Melicka.

KONIEC.

# W PARYSKIEJ SOFJÓWCE

2)

*Łabędziowe filizanki*

— Dał nam pokój, cesarz, dał! Nazywa się to uregulowaniem spraw zachodniej Europy na trwałych podstawach. Polska już z każdą wiosną nie będzie patrzyła wojny! Rozpakujcie swoje mantelzaki, naiwni, co czekaliście lat tyle, aby za ojczyznę walczyć... Polska... Co obiecał cesarz, gdy bicie dzwonów ogłosiło narodzenie syna? Mówił, że era prawdziwego pokoju na świat schodzi, że dziecko wychowa w zasadach nowego świata. A gdy ogłoszono pokój, na Włoskich Bulwarach, naprzeciw Maison Dorée, wywieszono kolosalny portret Aleksandra II, herb Rosji i napis: „Boże, cesarza chroń“.

— Paryż, jak wielki, od dołu do poddaszy, za jaśniał długą linią kolorowych lamp, co kilkanaście kroków przerywaną niespodzianką, zgóry przez zwolenników pokoju przygotowaną. Transparenty z wiatami, gazowe cyfry, bukiety trójkolorowych świateł elektrycznych, ogniste wiersze na cześć zwycięzców... Kto nie miał domu, ni mieszkania, czyje okna nie wychodzą na ulicę, iluminował sam siebie. Co krok spotykało się spacerowicza z latarką w ręce lub na głowie. Francuskie Djogenesy szukają człowieka.

— Ona to wam ładnie opowiedziała.

— Tak mi tylko wolno było napisać do Polski, nic, żadnej uwagi...

— Ale z tego opisu wiedzieć będą, co trzymać należy o cesarzu i pokoju. Już jak ona napisze...

Pani Zofja śmiała się:

— Złośliwi mówią, tak mi powtarzano, że was tu zbieram, a co powiecie, za swoje podają.

— Klamią bezecznie! To nietylko mądra kobieta, ale jak od nas wszystkich inna! Ilu dobrą radą, pomocą i sercem służyła! Ileż to razy troskliwość jej przyjaźni odgadła zły stan mego zdrowia i znalazła środki zapobiegawcze złemu! Zdawało się, umierałem, sprowadziła doktora Raciborskiego, wiecie, tego, co Szopenka leczył. Stary ja ci jestem wyga, ale tak zacnej duszy nie spotkałem.

— Romantyczny z pana kawaler.

— Racja, serdeńko moje. Czyż ja nigdy nie nauczę się pamiętać, że już od trzydziestego roku mego życia lat trzydzieści upłynęło?

W kącie młodzi cicho rozmawiali:

— Bo i prawda. Teraz z żydóweczkami rad się zabawia.

— Ale świeżo nawróconemi. Mistrz na to pozwala.

— To on zawsze jeszcze towiańczyk?

— Wierny. Żebyś słyszał, z jakim entuzjazmem o panu Andrzejku mówi. A Wrotnowski nie odznacza się bujną wyobraźnią. Jakże tam z temi żydóweczkami?

— Jedną, Lucię, szczególnie lubił. Na wodę sodową naprzeciw ratusza ją zapraszał. Teraz dał jej pożegnanie, bo rulującą w gabryolecie widział.

— A nie na osiołku, w Robinson?

Wszyscy zabierali się już do odejścia, gdy deszczyk majowy zaczął padać.

— Znów nie złapię fjakra, aż gdzieś na placu Breda. Trzeba będzie iść po błocie. Nogi będą miał przemoczone i katar pewny. A potem kaszlowa noc. Ale co gorsza, ząb znów rozboli i trzeba ostatni wyrwać. Ach, w tym Paryżku!... Nie wiem, czy wam opowiadałem, jak to było z wyrwaniem zęba?

Pan Feliks, stojąc już na progu, nanowo się rozgadał:

— Pracznka podała mi adres dentysty, który w Hôtel Dieu znany jest ze zręczności w wyrwaniu. Poszedłem do niego. Weszliśmy przez kram obuwia do izby ciemnej. Pani dentystowa i kupcowa w jednej osobie zapaliła świece, a mąż jej począł wydobywać instrumenta. Jest to człowiek nieświetnej powierzchności i nie ma końca nosa; ale widzieć można, że dobrze zna swą sztukę. Wyrwał lewy odrazu i bez bólu, a potem zabrał się do drugiego. Było



Albert Bertrand: „Księżna Matylda“.



„Wyrwał lewy odrazu i bez bólu, a potem zabrał się do drugiego”...

gorzej! Pień wyrwany wpadł mi do gardła i, zakrzuszywszy się, musiałem zatrzymać rękę operatora. Potem, wypłókawszy gębę, dałem z podziękowaniem 10 fr., które z większym jeszcze podziękowaniem przyjął. Niezmiernie rad byłem z pozbycia się spróchniałych zębów, które mi przez lat pięćdziesiąt służyły, a teraz leżą w puszcze i zapewne nie będą miały honoru spoczywać w mojej trumnie.

— Facecjonista z pana dobrodzieja.

— Księżna Marcelina zna pewien sekret na ból zęba. Trzeba palec wskazujący chwilę potrzymać na bolącym zębie. Ale to innym razem. Tom się zasiał! I na Balu Mabilie lepiejbym się nie zabawił. Do domu. Lato za pasem, o kuracji myśleć trzeba. Wybrany już byłem do Hawru, ale do morza jeszcze zawczasem, po drugie zaś do morza jechać mi już nie wolno. Synowiec mój, doktor Wrotnowski, srogo zakazał. Chyba w Pyreneje. Przywiozę ci, detyno, welniane pantofelki, żebyś mi w zimie nie marzła, piecuszko kochana! A może lepiej malki nie pakować, przy kantorku do roboty zasiąść? Pojechać, dobrze, ale co z powrotem się zastanie? Jak portjerka się spiesz, czy aby mole rzeczy nie pojedzą? Et, jedna maksyma, w drodze, czy na miejscu: kto smaruje, ten jedzie. A no, zobaczymy. Tymczasem do widzenia, daj Bóg w drugą niedzielę, i bacz, niech ci się nie potłuka łabędziowe twoje filizanki.

*Aura Wyleżyńska.*

## U COLETTE

Paryż, jak zalotna kochanka, roztoczył wszystkie swe uroki i powaby — w dniu rozstania. Nigdy jeszcze nie było tu tak słonecznie i błękitnie, nigdy tak nie pachniały fiołki i mimozy w koszykach ulicznych fioraji; a pączki na kasztanach nabrzmiały tego poranka tak widocznie, jakby mówiły:

— Jeszcze tylko jeden dzień, dzień tylko jeden pozostań tu z nami, a zmienimy się w młode, zielone liście. Zobaczysz: jeden dzień.

Ale tego jedynego dnia nie mogłam już znaleźć w moim rozkładzie czasu. Wyczerpałam wszystkie terminy w oczekiwaniu na dar najrzadszy i najcenniejszy, do którego postanowiłam zmusić Paryż: zobaczcie Colette.

Niech nikt sobie nie wyobraża, że interwiew ze znakomitą powieściopisarką jest czemś łatwo osiągalnym. Że w Paryżu, tak, jak u nas, udziela się adresu i numeru telefonu każdej czytelniczce, która zada sobie fatygę zatelefonowania do redakcji. O miejscu zamieszkania Colette nie można się było dowiedzieć nigdzie. Potwornie grube książki adresowe, przykute łańcuchami do pocztowych okienek, milczą o niej dyskretnie. Stary woźny u Fayarda (wydawcy Colette) robi minę tak zgorzowaną, jakby mu się uczyniło jakąś zgola nieprzystojną propozycję.

— Jeżeli madame życzy, wydawnictwo może przekazać list; ale adresów naszych autorów nie udzielamy nikomu. O nie!

List, przekazany tą drogą, pozostaje, oczywiście, bez odpowiedzi. Bo i cóż to jest list od nieznannej wielbicielki?! Służąca pani Colette wymiata ich zapewne codziennie całe stopy.

— Zobaczyć się z Colette to fizyczna niemożliwość — mówi doświadczona paryska dziennikarka. — Nawet, gdyby pani już naznaczyła sama dzień i godzinę, to zastanie pani jej psy, i koty, i szereg osób zamówionych na tę samą porę, które tak samo odejda z kwitkiem. Zażenowana służąca będzie ze łzami w oczach przepraszała za swoją panią, która nigdy nie pamięta o tem, że się z kimś umówiła.

Mniejsza o to. Poznać osobiście psy i koty Colette — to też gratka nielada, dla kogoś, kto umie na pamięć „Dialogues des Bêtes”; tylko ten adres, adres!...

Przypadek, naogół złośliwy, bywa też czasem i uczynny. Numer pisma z wywiadem u Colette sam się wsuwa w ręce. Stoi tam czarno na białym, że autorka „Tej drugiej” sprowadziła się niedawno do Claridge’u. Niech żyje niedyskrecja dziennikarska!

Spacer przez Pola Elizejskie jest sam w sobie rozkoszą. Nadmiar liberyjnej służby w hall’u olbrzymiego Claridge’u działa cokolwiek onieśmielająco. Ale już siwy portjer w windzie wygląda bardzo dobrodusznie, a po otrzymaniu franka staje się rozmowny. Służba na szóstym piętrze jest równie przyjacielska i poufała, jak w maleńkich hotelikach Montpar-

nasse'u, do których się wchodzi po wąskich, krętych schodkach.

— Nie, pani Colette niema, ale jest jej służąca. Hej tam! Pauline! Jakaś pani przyszła do waszej pani z wizytą.

Sympatyczna Pauline jest tak ufna, iż z całą uprzejmością otwiera drzwi amarantowego saloniku i proponuje, abym tam zaczekała na jej panią, która może wkrótce nadejdzie, a może i nie. Łaciata bułdożka obwąchuje mnie wilgotnym noskiem i kiwa zachęcająco szczytkiem uciętego ogonka.

Zostać sama w mieszkaniu Colette... Cóż za rozkosz! Lecz co za bezczelność zarazem. Nie, ma się jeszcze odrobinę sumienia. Uciekam.

Tak było raz i drugi. Wreszcie zacna Pauline zlitowała się nad natrętą cudzoziemką i zdradziła godzinę, w której będzie można z całą pewnością złapać jej panią... telefonicznie.

Drżała ręka, ujmująca słuchawkę, załamał się głos na słowach, tak bardzo konwencjonalnych:

— Czy mówię z panią Colette?

Niezmiernie miły alt o niskim, aksamitnym brzmieniu nic nie obiecywał, nie robił żadnych nadziei. Zmęczenie, nawał pracy... Jutro i pojutrze ani chwili czasu.

— No, to w piątek. Żeby zobaczyć panią, zostaną o dzień dłużej.

— C'est entendu, w piątek o pół do siódmej.

Z bijącym sercem, wzruszona i niespokojna (a nuż zapomni?!), śpieszyłam po ostatni, najwspanialszy upominek Paryża. Gumowe podeszwy sportowych pantofli niosły mnie, jak skrzydła. Zmierzch osnuł Pola Elizejskie szatą z gęstej, szarej gazy. Wielobarwne reklamy świetlne lśniły, jak wyszycia z błyszczących paciorków, strojne kobiety sunęły przez ulicę cicho i miękko, jak koty. Oczy ich błyszczały wesoło po przez tiul woalek. Uśmiechy malowanych ust obiecywały wiele. Starzy ludzie uśmiechali się dobrodusznie i pobłażliwie. Świat był piękny.

Najeżony liberją hall ogromnego palace'u stał się obojętny, jak podwórze dobrze znajomego domu. Winda była, jak łódź, przybijająca do upragnionej przystani. Korytarz. Drzwi.

— Entrez!...

Skurcz serca: to już... O Boże!

Dziennikarka, której zawodowej niedwskrecji zawdzięczam adres Colette'y, zapewniła, że dwa pokoiki na szóstym piętrze Claridge'u pełne są cennych staroświeckich mebli i artystycznych, dobranych z wyjątkowym smakiem, drobiazgów. Zapewne tak jest. Ja jednak nic nie widziałam. Widziałam tylko ją, siedzącą przy biurku, zwracającą ku drzwiom głowę ruchem pełnym znużenia. Jej oczy turkusowe, błękitne, przenikliwe, zdziwione, pytające...

— Pani życzy?...

Zapomniała.

Usiłuję wytłumaczyć, przypomnieć. Mam mnie tak nieszczęśliwą, że uśmiecha się wreszcie.

— Ach tak, teraz już sobie przypominam, wyleciało mi to z głowy. Wróciłam dopiero co ze wsi. Taki był słoneczny dzień. Proszę mi wybaczyć nieład (nie widziałam żadnego nieładu). — A zresztą: czego pani właściwie chce?

Czego ja chcę?...

— No, niby chodzi mi o to, żeby, żeby z panią zrobić wywiad dla pewnego polskiego pisma. Ale to



Colette na balkonie.

nieprawda. To wszystko głupstwo, to pretekst... Naprawdę to chodziło mi o to, żeby panią zobaczyć. Ale może przeszkadzam? To już pójdę...

Turkusy oczu stają się jeszcze jaśniejsze.

— Kiedy pani weszła w tym brązowym żakietku i berecie, myślałam, że to moja córka przyjechała mnie odwiedzić.

— Pani córka... nie mieszka z panią?

— Nie. Jest na wsi. Ale często do mnie wpada. Obecnie ma dużo roboty. Została pomocnicą reżysera filmów. Na pierwszy ogień dostała pracę przy filmowej adaptacji mojej powieści „La Vagabonde“. Jest ogromnie zapalona do swego nowego fachu.

— A pani? Czy jest pani zadowolona z realizacji swego dzieła? Bo, oczywiście, była pani obecna przy zdjęciach.

— Nie. Nic dotąd nie widziałam. Ale sądzę, że będzie dobrze. Reżyserka, Solage Bussi, także bardzo młoda kobieta, ma dwadzieścia dwa lata, jest inteligentna, subtelna... Marcelle Chantal, kreatorka roli tytułowej, jest piękna i utalentowana. Film powinien być udany.

— A nie obawia się pani, mimo wszystko, rozczarowania? Bo... bo przecie i w teatrze najlepiej odтворzony, najinteligentniej po reżysersku skomponowany utwór literacki traci, staje się zamknięty i ograniczony, mniej piękny, niż w wyobraźni. I to dla zamilowanego czytelnika, co dopiero dla autora!...

— Ach tak, naturalnie. Tego rodzaju rozczarowania są nieuniknione. Nieuniknione.

Błękit oczu zasnuwa się mgiełką znużenia. Mam się wynosić? Na biurko wskakuje żywy kot, ze srebrzysto stalowego pluszu.

— Ach, jakież piękny! On, czy ona?

— Kot, samiec. Piękny, zarozumiały i głupi, jak każdy samiec. Nno, proszę zjeść trochę zielonej trawki, którą pani przywiozła dla kota. To zdrowe, to witaminki. A teraz proszę poleżeć na grzbiecie. O tak,



Kot tego nie lubi, ale trudno, trzeba czasem zrobić coś, czego się nie lubi.

Cóż za głos! Teraz rozumiem paniczny przestach pięknej, młodej żony modnego muzyka, która, widząc męża, zajętego ożywioną rozmową z Colette, wpijała kurczowo paznogie w rękę przyjaciółki, szepcząc w przerażeniu: „Jeżeli Ona zagnie na niego parol, jestem zgubiona! Nikt się Jej nie oprze“.

— Muszę pani zaprezentować matkę tego smarkacza. To jest indywidualność, c'est vraiment quelqu'un. Jest tak mądra, że nigdy nie dawałam jej żadnego imienia. Nazywa się poprostu: chaaatte. Wszystko rozumie. Hoop! Widzi pani, skacze przez ręce, jak przez barjerę. Ale bardzo tego nie lubi. Jest zła; a kiedy jest zła, to daje synowi po buzi. O tak.

— Kkench!... — powiada podenerwowana kocica do synalka, który naiwnie podlażył jej pod łapy. Rodzinne nieporozumienie kotów budzi smacznie śpiącą w fotelu buldożkę. Podnosi wielki, niezgrabny łeb i wybałusza żółte, zdziwione gały.

— Et vous, madame? — woła na nią ostro Colette. — Co pani ma w tem wszystkim do powiedzenia?!

Psina wpatruje się w swą panią wiernym, psim wzrokiem, pełnym bezgranicznego umiłowania, posłusznie zwiija się w kłębek i pokornie zasypia.

Tyle lat marzyłam o tem, że kiedyś poznam Colette. O tyle rzeczy chciałabym ją zapytać... Dowiedzieć się czegoś o jej teatralnej włóczędze (słyszałam, że jeszcze niedawno występowała w roli Léo, w przeróbcie z własnej powieści „Chéri“). Nie ośmieliłabym się zapewne wchodzić w szczegóły jej rozwodów z powieściopisarzem Willy i Henry de Jouvenel'em, popularnym politykiem i publicystą. Ale coś nie coś

chciałabym przecie wiedzieć. I dlaczego tak uporczywie wije sobie gniazda na najwyższych piętrach wielkich hoteli, jak ptak przelotny?

A najbardziej chciałabym umieć jej powiedzieć, czem były i są dla mnie jej powieści. Ale nie mam słów. „Strudziłam usta daremnym użyciem“. Za wiele mówi się banalnych, nieszczerých komplementów. Kiedy przychodzi chwila wyrażenia prawdziwego zachwyty, słowa, nieuczciwie użyte, wpychają się z powrotem w gardło i dławią.

Wstajemy. Ja i ona.

— Tak bardzo chciałabym panią poznać... Tak dużo miałam pani do powiedzenia... Widzę panią i nie umiem pani nic powiedzieć i... muszę panią już pożegnać.

Zalśniły turkusy oczu. Wielka znawczyni najskrytszych tajników dusz ludzkich i zwierzęcych zrozumiała prawdę, ukrytą po za głupotą słów. Uśmiecha się. Tak smutno.

— Jestem trochę dzika — mówi cicho.

— Ja także.

Uścisk dłoni bardzo mocny. Już po wszystkim. Szerokie, marmurowe, oślepiające białe schody Claridge'u zimne są i puste. Martwe. Szara mgła, otulająca Pola Elizejskie, zgęstniała i ściemniała. Już nie widać uśmiechów.

Za trzy godziny, przyklepiona do wagonowej szyby, będę się wpatrywała z tęsknotą i żalem w czarny aksamit nocy, gęsto nabijany iskrzącymi brylantami świateł. Będzie ich coraz mniej, coraz dalszych. Adieu, Paris!

Aż wreszcie zmęczone długą bezsennością oczy spoczną na wyblakłym kilimie mazowieckiej równiny. Zacznie się dzień powszedni. *Jadwiga Kieronarska.*



Colette i jej koty.

## TRZEBA DOPOMÓC ZAWCZASU

W swoim czasie długo toczyła się w „Bluszczu“ dyskusja o matkach nieślubnych; różne były zdania, jak traktować kobietę, która została matką nieślubną, wszystkie jednak głosy zgadzały się na jedno: należy zawsze dopomóc jej, aby mogła wychować swoje dziecko.

W tym kierunku idą też wszystkie teorie opieki społecznej, opieki nad dzieckiem i matką; tą samą sprawą zajmuje się komisja opieki nad dzieckiem w Lidze Narodów, która opracowuje specjalne prawa ochrony dzieci nieślubnych, opieki nad nimi, tworzenia instytucyj wychowawczych i pomocy dla matek.

Trudno się temu dziwić, gdyż dziecko nie może odpowiadać za rodziców i każde, które przychodzi na świat, ma prawo żądać, aby ludzkość nie pozwoliła mu ginąć, lub żyć w warunkach, urągających tejże ludzkości.

W Polsce robi się też, co można, w tym kierunku: różne stowarzyszenia, przeważnie kobiece, organizują domy dla matek i starają się wszelkimi sposobami pchnąć tę sprawę na właściwe tory. Robi się to wszystko powoli, bo zagadnienie jest rozległe, trudne i skomplikowane, a fundusze zawsze ograniczone. Pracuje jednak intensywnie Tow. Opieki nad niemowlętami, i Komitet Opieki nad dzieckiem, i Koło Pracy Kobiet, i Sekcja Opieki nad matką i dzieckiem Związku Pracy Obywatelskiej, i wiele innych.

Wszystkie jednak wysiłki skierowane są zwykle w celu dopomożenia matce dziecka już urodzonego; a co ma robić kobieta, która, oczekując przyjścia na świat dziecka nieślubnego, znajduje się prawie zawsze wytraconą poza nawias dotychczasowego, normalnego istnienia i często nie może dać sobie żadnej rady i znikąd znaleźć pomocy? Fakty takie są niezmiernie częste i bardzo tragiczne.

Oto jeden z nich, charakterystyczny, wzięty wprost z życia i poprostu typowy, podany nam przez jedną z naszych czytelniczek.

Młoda dziewczyna, ze środowiska pół, czy ćwierć inteligencji w małym miasteczku. Dzielna, rwąca się do życia, do pracy i do nauki. Była słuchaczką kursów dla młodzieży, pomagała kierownicze, pracowała z zapalem. Od dzieciństwa znała sąsiada, towarzysza zabaw i nauki, chłopca zamożnego i zdawało się, bezwzględnie uczciwego; była z nim zaręczona, wyszły zapowiedzi. Ślub miał się odbyć za parę tygodni. W ostatniej prawie chwili rodzina narzeczonego potrafiła namówić go do zerwania i ożenić z córką bogatego sąsiada. Dla biednej opuszczonej zaczęły się dnie prawdziwie tragiczne. Oprócz całej goryczy zawodu, stanęło przed nią zapytanie: co począć? Była w ciąży. Matka jej zaś oświadczyła poprostu: albo ty odbierzesz sobie życie, albo ja; zhańbiłaś mi dom!

Czytelniczka nasza postanowiła zaopiekować się nieszczęśliwą. Pozostawić ją na miejscu było niepodobieństwem, postanowiła więc udać się do Warszawy, aby trafić do jakiejś instytucji pomocy dla nieślubnych matek. Podajemy tu krótki opis tych starań, które trwały około tygodnia.

Mając pewne polecenie, udała się pani W. najpierw do zakładu dla Magdalenek; tam jednak okazało się, że zakład przyjmuje kobiety „upadłe“, ale o

daniu schronienia dziewczynie, spodziewającej się dziecka, niema mowy. Zwróciła się więc do Tow. „Ratujmy Niemowlęta“. Objasniono ją, że celem Towarzystwa jest przyjście z pomocą niemowlęciu, którego matka wychowywać nie może. Towarzystwo nie ma jednak środków, ani organizacji odpowiedniej do pomocy matce przed urodzeniem dziecka.

Podobnie w Domu Wychowawczym przy szpitalu Dzieciątka Jezus, gdzie przyjmuje się matki po wyjściu z zakładu położniczego i to tylko te, które mogą, oprócz swego, karmić drugie niemowlę. Tak samo dzieckiem już urodzonym i matką zajmuje się świeżo otwarty dom wychowawczy dla Matki i Dziecka Związku Pracy Obywatelskiej.

Po kilku dniach wyczerpanego biegania po mieście, udało się wreszcie pani W. wyrobić dla swojej pupilki przytułek w zakładzie w Henrykowie. Jest to też zakład, przeznaczony głównie dla kobiet upadłych, ciężko nieraz w tem środowisku żyć dziewczynie, która nie ma za sobą prostytucji, a której całą winą było zbyt duże zaufanie do narzeczonego. W każdym razie jednak uwiedziona znalazła tam schronienie. Ale ile to kosztowało trudu jej opiekunkę! W dodatku osoba inteligentna, zaprawiona do pracy społecznej, rozporządzająca pewnymi środkami, mogła sobie jako tako dać radę. Można zaręczyć z całą pewnością, że sama zainteresowana nigdyby sobie w ten sposób nie zaradziła i doprowadzona do ostateczności, posunęłaby się do jakiegoś rozpaczliwego kroku.

Tak też powszechnie bywa. Obok dzieciobójstw, tak okropnie częstych, jakżeż olbrzymi jest procent wypadków samobójstw istot uwiedzionych! Bez przesady rzecz można, że trzy czwarte „klasycznych“ otrucień jodyną, jodyną, jak zresztą i innych sposobów usiłowań zejścia ze świata, to te, które mają zostać nieślubnymi matkami. A takie samobójstwo jest przecie też zabójstwem dziecka, choć prawnie nie ściganem!

Ale jakaż otchłań rozpaczy otwiera się przed dziewczyną, która nie ma się gdzie podziąć, nie zna dróg i środków zaradzenia sobie, dróg zresztą tak trudnych, nawet dla osób bez porównania inteligentniejszych i „moźniejszych“ od niej!

A przecie przynajmniej trzy czwarte tych kobiet chciałyby napewno i mogłyby, gdyby im ktoś rękę podał, wychować swoje dzieci.

Sprawa takiej opieki dałaby się w dodatku obmyśleć łącznie z pomocą samym dzieciom. Kobieta, mająca zostać matką nieślubną, może przez szereg miesięcy zajmować się pracą, która dałaby się użytkować w odpowiednim zakładzie. Może też być nieraz umieszczona w jakimś zajęciu. Chodzi o zaopiekowanie się nią, o zdjęcie z niej przesadzonego pojęcia hańby, najczęściej o usunięcie chwilowe z dotychczasowego środowiska, a jednocześnie o Niemieszczanie w środowisku prostytutek, gdyż to działa albo deprymująco, albo wprost szkodliwie i groźnie.

O tem wszystkim powinny pomyśleć stowarzyszenia i instytucje opieki nad matką i dzieckiem. Opieka nad dzieckiem już urodzonym jest najżywszym nakazem społecznym, ale obok niego trzeba wziąć pod uwagę i dziecko w łonie matki i matkę samą. To są, złączone w jednej, dwie żywe istoty. I obie do pomocy ludzkiej mają prawo.

N. J.



## Z ŻYCIA EKRANU

(Egzotyzm)

Ostatnio widzieliśmy w Warszawie dwa filmy egzotyczne: japoński i murzyński.

Film japoński („Jokichi — drwal“) dostał się do nas, prawdopodobnie, dzięki swej „niemocie“, gdyż ani w Europie, ani w Ameryce już się takich nie produkuje, a istniejące jeszcze kina bez aparatury dźwiękowej cierpią coraz bardziej na głód filmów i szukać ich muszą coraz dalej.

Jednakże „Jokichi-drwal“, pomimo niezaprzeczonej autentyczności pochodzenia, nie przyniósł nam nic z tego, czego się oczekuje po tak egzotycznym gościu, urodzonym gdzieś „za siódmą górą i siódmą rzeką“. Gdyby nie skośne oczy aktorów i — od czasu do czasu — widok kimona, możnaby przysiąc, że patrzy się na film francuski z przed 10-ciu lat, w stylu sentymentalnych „romans-cinema“.

Spotyka się tu wszystkie konwencjonalne figury podobnych filmów, związane z nimi tak nieodzownie, jak arlekin lub colombina z „commedia dell'arte“. Jest więc szlachetny bohater, i dobroduszny chlebobdawca, i ubogie dziecko, adoptowane przez bogatych państwa, i „czarny charakter“, i niedoświadczona dziewczę...

Rzecz dzieje się we współczesnej, zmodernizowanej Japonii, ale mogłaby się dziać równie dobrze gdziekolwiek w Europie, gdyż ani wewnętrznie (charaktery, temat), ani zewnętrznie (sposób życia, strój, obyczaje, architektura i t. d.) nie ma w sobie nic japońskiego i mówi nam mniej o Japonii, niż przeciętne filmy amerykańskie — o Ameryce (nie da się zaprzeczyć, że pewne pojęcie o amerykańskim życiu wyrobiliśmy sobie na podstawie filmu).

„Jokichi-drwal“ przypomina pod wieloma względami fil-

my polskie, zwłaszcza dawniejsze: usiłuje przede wszystkim dać to, co już inni pokazali, i to stokroć lepiej, a jednocześnie — stara się nadać filmowi „narodowy“ charakter przez naiwne wstawki folklorystyczne, jak np. taniec drwali (w naszych filmach — ni przypiął ni przylatał — pokazuje się polską wieś, dożynki i t. p.).

Patrząc na ten film japoński, trudno oprzeć się uczuciu, że takie właśnie wrażenie muszą wywierać zagranicą filmy polskie, nie mogące tam wzbudzić żywszego zainteresowania ani ze względu na swą wartość artystyczną, ani na odrębny charakter.

Nie wiem, czy „Jokichi-drwal“ należy do najlepszych filmów japońskich: może są lepsze, gdyż i od nas nie zawsze zagranicę idzie to, co nadawałoby się do reprezentacji. Podobno istnieją filmy japońskie, których tematy są przynajmniej interesujące (legandy z życia bohaterskich samurajów). Szkoda, że dotarło do nas to, co jest najmniej ciekawe. Największą ozdobą „Jokichi-drwala“ (znów podobnie, jak w filmach polskich) są piękne plein'air'y. Dźwiękowce wyparły z ekranu przestrzeń tak doszczętnie, że każdy film, w którym widzi się trochę nieba i morze, film, który pozwala oku błędzić i szukać dalekiego widnokręgu, jest zawsze miłym przypomnieniem raj utraconego.

Zupełnie inaczej przedstawia się film murzyński (w oryg. „Hallelujah“, u nas — „Dusze czarnych“). Jeżeli chodzi o rodowód, jest to poprostu film, pochodzący z najlepszej amerykańskiej szkoły, dzieło King Vidora, jednego z wybitniejszych reżyserów doby obecnej. A mimo to „Dusze czarnych“ — to film par excellence egzotyczny, wprowadzający nas w świat zupełnie nieznaną, oddalony od nas o tysiące mil, nietylko w przestrzeni, ale jakgdyby i w czasie. Aż dziwnem się wydaje, że ten prymitywny twór, jakim są „dusze czarnych“, jest tworzonym dla najnowocześniejszej formy artystycznego wypowiedzenia się — dla filmu dźwiękowego.



Scena z filmu japońskiego: „Jokichi-drwal“.

Murzyńscy aktorzy (a innych w filmie niema) odtwarzają, oczywiście, role, wyznaczone im przez scenarjusz, a jednak wie się, że to jest do pewnego stopnia, improwizacja, gdyż ludzie ci grają tylko samych siebie. To też często doznaje się wrażenia, że patrzy się na film dokumentalny, tyle jest w nim realistycznej prostoty, autentycznych scen z życia i — prawdy psychologicznej.

King Vidor pokazał nam, bez tendencyjnych zabarwień, jak wygląda cywilizacja, religja i etyka białych, przefiltrowana przez duszę murzyna. Cóż z tego, że Joe, po przypadkowym zabójstwie brata, kaja się szczerze, pragnie zmyć swą winę świętobliwym życiem i zostaje słynnym kaznodzieją, — skoro wiara nie może go powstrzymać od popełnienia nowego, sto-kroć gorszego grzechu, ani nie daje mu ukojenia, które znajduje dopiero w odwiecznej tradycji patryjarchalnego życia rodzinne-go i pracy na roli.

Zato biedny, śmieszny murzyn w cylindrze, mający dzie-sięcioro dzieci i, dopiero po dorobieniu się tak licznej progeni-tury, przypominający sobie, że żył z żoną w grzechu i powin-nien wziąć ślub u pastora — nie wie pewnie wcale, że jest bliż-szy Boga, niż ci „wierni“, których ekstazy religijne są czystymi objawami pogaństwa i fetyszyzmu.

Tak samo murzyńska narzeczona Missy Rose, której uko-chany sprawił tyle cierpień, nie zdaje sobie zapewne sprawy, że jest prawdziwą wyrazielką chrześcijańskiej pokory, wiary i przebaczenia. Tak się tam dziwnie wszystko wikła w tych du-szach czułych i namiętnych, dziecięco naiwnych i okrutnych.

King Vidor zdarł konwencjonalną maskę, w którą do-tychczas stroili murzynów wszyscy filmowcy amerykańscy, czu-jący do nich nieprzeparty wstręt, a w najlepszym razie — pro-tekcyjną pogardę. Murzynowi wolno mieć conajwyżej piękny głos, muzyczne ucho i talent taneczny — i to się też tylko po-kazywało i wyszukiwało w filmach. Dopiero King Vidor, który zresztą pierwszy pokazał grozę nowoczesnej wojny („Wielka parada“) i życie „standaryzowanego“ amerykańskiego obywatela



Scena z filmu: „Dusze czarnych“.

la („Człowiek z tłumu“), i tym razem sięgnął głębiej i odkrył tę kwestjonowaną przez jego rodaków „duszę czarnych“.

W filmie tym odnajdujemy wszystkie zalety dobrej ame-rykańskiej szkoły (doskonałe tempo, dobry montaż, stopniowa-nie efektów), pogłębione przez niecodzienny i inteligentnie uję-ty temat. Film „Hallelujah“ — to dokument wizualny życia i duszy czarnego ludu, dorzucony do literackich dokumentów Moranda, René Marau'a („Batruala“) i van Vechtena („Raj mu-rzynów“).

Stef. H.

## Z TEATRÓW

TEATR ATENEUM.

„Europa“ — sztuka w 5-ciu obrazach z prologiem i epilogiem Jerzego Brauna. Reżyserja Zygmunta Chmielemskiego, dekoracje M. i J. Żuławskich, ilustracja muzyczna H. Gadomskiego.

Starcie Wschodu z Zachodem nie na tle „żółtego niebez-pieczestwa“, ale konfliktów ideologicznych — oto treść „Eu-ropy“.

Temat interesujący i aktualny. Rabindranath Tagore i Ma-hatma Ghandi więcej mają niewątpliwie „niepowołanych“ wy-znawców w Europie, niż wybranych w Indjach. Supremacja ideowa Wschodu nad Zachodem jest uderzająca.

W sztuce Brauna stosunek jest odwrotny. Nie „ex Oriente lux“, jak dotąd bywało, ale człowiek ze Wschodu, Hindus Czandra, szukający iskry życia na Zachodzie. Klasztor tybetański ukazywał mu szczęście w kontemplacji i wyrzeczeniu się, on chce je znaleźć w walce. Ideałowi pasywności przeciwstawić aktywność. W tym celu wyrusza do Europy. Już na statku wpa-da w ręce inteligentnych aferzystów, którzy umiejętnie wyzyskują jego naiwną wiarę. Ziemia obiecana twórczej pracy dla dobra bliźnich przy bliższym zetknięciu okazuje się śmiert-niem snobizmu, szantażu, hochstaplerstwa.

Czandra nieczuły jest na pokusy złota, ale z naiwnością dziecka i ze zmysłowym żarem człowieka Wschodu ulega po-kusie miłości. Haniebnie oszukany, rzuca Europie w twarz sło-wa pogardy. Opuści ją na zawsze, nie chce jej znać. Nie wie, że jej dotychczas nie zna naprawdę. Mówi mu o tem Człowiek, przedstawiciel tej innej, rzetelnej, niezakłamanej Europy.

Wybuch wojna. Czandra i Człowiek spotykają się w tej samej ziemiance w okopach, podczas huraganowego ognia. Czandra nie może znieść bratobójczej walki, której celu nie rozumie. Wzywa żołnierzy do opuszczenia okopów i pogodzenia się z wrogami. Człowiek zatrzymuje ich jednak na pewną śmierć jednym słowem „obowiązek“. W imię tego obowiązku kładzie trupem Czandrę, a sam ginie od nieprzyjacielskiej kuli.

W epilogu duchy przedstawicieli dwóch cywilizacji spotykają się na tamtym świecie. W krótkim dialogu zgadzają się na jedno: pokój jest ideałem ludzkości, ale jeszcze na niego zawczasie. A zatem gloryfikacja pacyfizmu w przyszłości, wojny na teraz. Symbioza i synteza teorii z praktyką. Zbyt szybko i prymitywnie powzięta, aby miała być dojrzałą i przekony-wującą.

W tego rodzaju sztukach interesuje przedewszystkiem nie tyle sama ich teza, co jej przeprowadzenie. Pod tym względem „Europa“ nie wypełnia obietnic autora, jest ideowo niekom-pletna, razi dysproporcją pomiędzy zamiarem, a jego realiza-cją. Słyszymy ciągle na scenie, że istnieje jakaś inna, lepsza, twórcza Europa, ale widzimy ciągle tylko jej parodję. Na dobrą sprawę mogłaby to być i Ameryka, która w pogoni za dolarem osiągnęła rekord szybkości. Tę istotnie aktywną Europę ma re-prezentować Człowiek, ale rola jego jest raczej ciągle nega-tywna: najprzód ostrzega, potem poprostu zabija. Czekamy na-próżno, aby zaczął tworzyć.

I może właśnie w tem daremnem oczekiwaniu tkwi wę-zel porozumienia widza z autorem. I jeden i drugi jest całko-

wicie bezradny wobec tematu. Autor postawił sobie zadanie trudne: zaczął od szczytów, od rozstrzygania problemów globalnych. Jeżeli mamy się dopatrywać w nim jakich pokrewieństw, to chyba z „Nieboską“ i „Niedokończonym poematem“ Krasińskiego. Tylko, podczas gdy Krasiński poszedł po linii uniwersalistycznego patosu, Braun obrał drogę nawpół symbolicznej, nawpół realistycznej satyry. Załamał się na tej drodze, ale wycofał z honorem. Czujemy, że miał więcej do powiedzenia, ale jakoś nie ze wszystkim mógł się wyjedytować, i współczujemy mu tak, jak obiecującemu uczniowi, który wprawdzie obciął się na egzaminie, ale jest o wiele inteligentniejszy od reszty, która bezmyślnie wykuła wszystko z podręcznika według programu.

Braun mimowiednie utożsamia się z Czandrą, patrzy na świat jego dziecinnymi oczyma. To decyduje o naiwności jego chwytów scenicznych, które oscylują między prymitywem przedstawień szkolnych, a efektownymi uproszczeniami kina.

Dyrekcja teatru „Ateneum“ zadała sobie trud nielada z inscenizacją „Europy“ i wyszła z tego trudu zwycięsko. Problem przestrzeni został rozwiązany na małej scenie i pomysłem, i artystycznie, i nowoczesnie dzięki dekoracjom Żuławskich.

Gra aktorów nie we wszystkich punktach była dociągnięta do właściwego poziomu. Jaracz miał niewdzięczną, terenowo ciasną, a ideologicznie niewyraźną rolę Człowieka. Sawan pozwalał się uwodzić, jak kobieta. Dopiero w filmowej scenie zrywania czerwonej kotary zdobył się na męski gest i pozę. Mazarekówna miała być wampirem, a była synogarlicą. Łuszczewski trafnie ujął rolę dziennikarza. Reszta aktorów robiła, co mogła, aby było dobrze.

S. P. O.

więcej do noszenia rosyjskich futer, niż lancasterskiej bawełny. Ale propaganda zwyciężyła. Wspaniałe wystawy, pochody i festiwale, zorganizowane w Londynie i w Lancaster, protekcja królowej, a przede wszystkim rozum i konieczność, zrobiły swoje. Bezrobocie musi być zmniejszone, przemysł musi być podtrzymany; wobec tej konieczności angielski nie cofną się przed żadną ofiarą.

#### POD CHMURAMI.

Panna Lola Schrötter, znana pilotka niemiecka, dokonała, podczas popisów w Lipsku, skoku ze spadochronem z wysokości 4400 metrów. Jest to kobiecy rekord wysokości w tym zakresie.

Wielką sensację wywołuje też projektowany lot transatlantyki lotniczki amerykańskiej, Ruth Nichols. Zdobyła ona parę tygodni temu rekord wysokości, 28 tysięcy stóp, obecnie ukończyła już przygotowania do przelotu z Emeryki do Europy. Start oczekiwany jest lada chwila. Panna Nichols leci na własnym samolocie, pilotować będzie sama. Gdyby się jej szczęśliwie udało, byłaby pierwszą zwyciężczynią Atlantyku.

#### NA POMOC TONĄCYM.

Panna Józefina Edwards jest jedyną kobietą w drużynie ratowniczej w Hermosa na wybrzeżach Kalifornji. W razie wypadku tonięcia, dzielna ta niewiasta śpieszy zaopatrzona we wszystkie pomoce, pasy ratunkowe i przyrządy. Panna Edwards ma już w ciągu paru lat pracy w drużynie liczne wypadki szczęśliwego ocalenia tonących.

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

### ANGIELKI CHCĄ NOSIĆ TYLKO KRAJOWE TKANINY.

W Anglii odbył się bardzo uroczyste „tydzień bawełniany“. Protektorat objęła królowa angielska, która przez ten czas ubierała się wyłącznie w suknie z krajowych tkanin bawełnianych. Propaganda ta ma na celu przekonanie Anglików, a szczególnie Angielek, o możliwości podniesienia przemysłu krajowego i zmniejszenia bezrobocia, przez kupowanie bawełnianych wyrobów angielskich.

Olbrzymie fabryki okręgu lancasterskiego zaopatrywały dawniej cały daleki Wschód i liczne kraje europejskie. Przed wojną Lancaster był prawdziwym składem manufaktury bawełnianej dla całego świata, obecnie być nim przestał. Wpłynęły na to okoliczności takie, jak rewolucja w Rosji i system sowiecki, rozwój fabrykacji miejscowej w różnych krajach europejskich i bliższego Wschodu, a najwięcej kołowrotek Ghandiego: przecież dosłownie całe Indie zaczęły, za jego przykładem, prążyć len i bojkotować towary angielskie. Wszystko to sprawiło, że gdy w r. 1914 było w okręgu lancasterskim 800 tysięcy warsztatów, wyrabiających 8 milionów jardów, obecnie jest ich tylko 700 tysięcy, o produkcji o połowę zmniejszonej: 4 miliony jardów. Jedna trzecia ogólnej cyfry bezrobotnych to okręg Lancaster.

Anglicy nie opuszczają jednak rąk, uważając, że bezrobocie nikt nie zażegna narzekaniem. To też wszystkie sfery społeczne zabrały się energicznie do ratunku zagrożonego przemysłu. Pierwszym krokiem do tego ma być hasło: tkaniny lancasterskie dla Anglików! Za przykładem królowej, damy dworu i cała arystokracja, a za nią wszystkie, mające pretensję do elegancji, ladies postanowiły nosić bawełniane tkaniny krajowe. Niektóre panie były zrozpaczone tym nakazem mody patriotycznej, twierdziły one mianowicie, że klimat Anglii nadaje się



Dzielna ratownicza.



Na pokładzie.

### KOBIETA SĄDZI.

Na dorocznych wiosennych regatach żeglarskich w Solent w Anglii sędzią regat została Miss Wett, pierwsza pani-kapitan statku. Miss Wett obserwowała i regulowała zawody z pokładu łodzi żaglowej.

### Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Rada Ligi Narodów rozpoczęła obrady.

Ogromne zainteresowanie tą sesją tłumaczy nam naprawdę poważną sytuację, która wytworzyła się w Europie.

W politykę pokojową Brianda uderzył cios Anschlussu. To też francuzi nie wybrali Brianda prezydentem. Nikt nie przypisuje mu winy, ale trudno iść uparcie po linii, która prowadzi w ślepy zaułek. Po szeregu ustępstw, czynionych Niemcom, mocarstwa koalicyjne nie chcą jednak dopuścić do naruszenia przez Niemcy zasadniczych traktatów. Unja austriacko-niemiecka jest takim naruszeniem, to też nią przedewszystkiem zajęła się Rada Ligi.

I odrazu zaznaczył się jeden fakt, bardzo znamienity: język dyplomatyczny Ligi był dotychczas potrójnie chyba dyplomatyczny. Zawsze starano się mówić tak, aby nikogo nie urazić i zachować wszystkie subtelności i wszystkie prestige. Obecnie stało się inaczej. W słowach bardzo prostych i zupełnie zrozumiałych i Anglja i Francja powiedziały Niemcom, że Anschluss jest, jako projekt polityczny, naruszeniem traktatów, jako projekt gospodarczy musi być uważany za jednostronny i niewystarczający. W bardzo szybkim terminie jednego posiedzenia postanowiono zwrócić się do Trybunału Międzynarodowego w Hadze o opinię: czy projekt unji celnej austriacko-niemieckiej da się pogodzić z traktatami? Do czasu tego orzeczenia, wykonanie Anschlussu ma być zawieszono.

Odwolanie się do Hagi jest pewnego rodzaju wybiegiem dyplomatycznym. Liga nie chce decydować odrazu, to widoczne. Jest jeszcze i inny wybieg, dosyć komiczny. Oto cały nacisk wywierany jest na Austrię, choć przecież Unję zawierały dwa państwa: Austrija i Niemcy. Ale Austrija jest biedna, Austrija znajduje się pod kontrolą finansową państw, od których potrzebuje pożyczki, to też mówi się głównie do Austrii, pozostawiając Niemcom niedomówienia!

Rezultat nie nasuwa zbyt wielu wątpliwości. Austrija zgodziła się na wstrzymanie przygotowań do unji, Austrija, potrzebująca pieniędzy, da się niewątpliwie przeciągnąć na stronę dających i może jeszcze na tem zarobić. Niemcy pozostaną na koszu.

To też rozgoryczenie w Berlinie jest wielkie i zakończy się prawdopodobnie dymisją Curtiusa. Może jednak będzie to nareszcie nauka, że dla Niemiec są pewne granice.

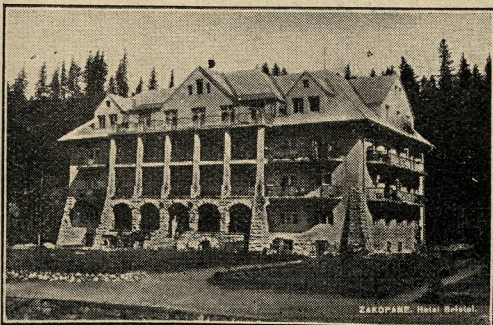
Poza sprawą Anschlussu, duże, choć innej kategorii wrażenie wywołała mowa delegata Sowieków Litwinowa, który oświadczył, że Rosja Sowiecka jest *krzywdzona* przez wszystkie państwa. Sowiety nie uprawiają dumpingu, chcą pokojowych stosunków ze wszystkimi i nie mają kryzysu gospodarczego. Dlaczego Europa ich nienawidzi i stara się im szkodzić?

Na to historyczne przemówienie odpowiedział minister Zaleski. Po zbitiu niedorzecznych wywodów Litwinowa, minister polski zaznaczył, że jeśli komisarz sowiecki nabierze właściwego pojęcia o charakterze polityki Ligi, będzie to z pewnością z pożytkiem dla niego, dla Rosji i dla pokoju.

Mowa ministra Zaleskiego spotkała się z ogólnym aplauzem, ale czy nie szkoda czasu obrad Ligi na tego rodzaju enuncjacje sowieckiego rządu?

Pozatem zdarzył się w Niemczech fakt, który może być ciekawym prognostykiem. Przy spuszczeniu na wodę wielkiego, nowego pancernika „Deutschland“ w porcie kilońskim, odbywały się wielkie uroczystości. Prezydent Hindenburg miał dokonać „chrztu“, rozbijając butelkę szampana o kadłub okrętu i wznosząc jego zdrowie. Tymczasem pancernik „uciekł“ od chrztu! Czegoś nie dopilnowano, przecięto zawczasem jakieś liny i w chwili, gdy ceremonia miała się rozpocząć, „Deutschland“ ruszył i pojechał dwa kilometry od brzegu.

Wypadek, jak wypadek, złośliwi jednak mogą powiedzieć, że flota ucieka od swego państwa!



**ZAKOPANE** Perła uzdrowisk polskich—daje emocjonujące widoki Tatr, tężyznę ducha i ciała, spokój, wypoczynek i zdrowie — a więc jedźmy wszyscy do Zakopanego.

**BRISTOL** Najtańszy luksusowy reprezentacyjny hotel-pensjonat w Zakopanem — daje wygody ogniska domowego, a w sezonach głównych rozrywki towarzyskie i zabawę. W okresach wiosennym i jesiennym ceny niższe od 30—50%. Tel. 315.

## NASZA MÓWNIKA

### Racjonalna ekonomja.

Poruszona przez p. Wandę R. sprawa, jak ułożyć budżet ludzi, mających pewne obowiązki stanowiska i środowiska, a skromne dochody, wywołała zrozumiałe zainteresowanie i dyskusję. Nie wiem jednak, czy dyskusja ta poszła racjonalnymi drogami.

Przedewszystkiem, pomimo bardzo wyraźnego wyjaśnienia autorki, o jaką sferę i stosunki jej chodzi, pomimo dalszego w tym względzie wyjaśnienia Redakcji, wiele odpowiedzi było „nie na temat“ (przepraszam za szkolne określenie, jestem nauczycielką!). Kontrahentki p. R. zdumiewały się: co? tak wielki budżet? To nie ma wystarczyć! A przecież są ludzie, którzy mają trzy i cztery razy mniej! i t. p.

Niektóre z tych odpowiedzi wyrażały nawet b. bezwzględna krytykę dla osób, które, mając 300 zł. miesięcznie na utrzymanie rodziny, są niezadowolone! Zaledwie parę głosów stwierdziło, że budżet rodziny w granicach 600 — 1000 zł. jest bardzo skromny.

Czy, dla chcących wyciągnąć wnioski realne z dyskusji, rezultat jej może oznaczać, że zarobki inteligencji są zadowalające i że, jak było w jednej z odpowiedzi, wystarczyć ma 3 zł. dziennie na utrzymanie i 40 zł. miesięcznie na ubranie paru osób w rodzinie? Chyba nie. Odpowiedzi tego rodzaju dziwnie przypominają znalezienie się jakiegoś młodego książyka niemieckiego. Podczas bytności w Polsce, przed wojną: pan ten ofiarował trzy ruble dla jakiejś filantropijnej instytucji. Nie znał zupełnie wartości pieniędzy!

Takie samo wrażenie wywierają przepisy osób, twierdzących, że 300 zł. miesięcznie na rodzinę jest dostateczne.

Uderza zato brak odpowiedzi ze strony tych, którzy mają nawet znacznie więcej. Czy im wystarcza? Jeśli tak, dobrze było to stwierdzić; jeżeli nie, to dlaczego nie powiedzieć?

Redakcja zachęcała do podawania właściwych budżetów; było ich bardzo niewiele, dlaczego? A tymczasem sprawa, poruszona przez p. R., rozszerzyła się, obniżka poborów, coraz większe trudności finansowe stawiają pod znakiem zapytania nawet budżety najbardziej zrównoważone i dotychczas względnie wystarczające. Trzeba zdać sobie sprawę z położenia i trzeba starać się o zaradzenie mu. Samo twierdzenie, że czemkolwiek ktoś rozporządza, musi to starczyć, niczemu nie zaradzi.

Chcąc zastosować się do życzenia Redakcji, podaję tu mój budżet; może stanie się on i przyczynkiem do dalszych moich wniosków w tej sprawie.

Zarabiam 350 zł. miesięcznie; z tego mieszkanie 100 zł. (pokój sublokatorski, kulturalny, ale bardzo skromny, z opalem, światłem i usługą), życie 120 zł. (obiady 2 zł. i reszta); pranie 15 zł.; tramwaje 15 zł.; składki stowarzyszeniowe 10 zł.; prenumerata pism i książek 25 zł.; drobne: igły, nici, mydło, woda kołońska, korespondencja, reparacje i t. p. 15 zł., razem 300 zł. Zostaje mi 50 złotych miesięcznie, kapitał! A teraz ubranie. Liczę, że co dwa lata sprawiam sobie jedno palto, skromne, 240 zł. Prawda, letnie może być tańsze, ale zimowe trudno dostać za tę cenę, a przecież trzeba mieć i jesienne, zatem trzy palta, z których trzeba każde nosić 6 lat, wynosi to 120 zł. rocznie; suknie dwie co rok, zimowa i letnia, 100 zł. (chyba b. skromne, gdy są droższe, nosi się dłużej i przerabia); obuwie, 2 pary rocznie, 80 zł.; pończochy, rękawiczki, kapelusze, kalosze, uzupełnianie bielizny, 100 zł., razem czterysta zł. rocznie. Ponieważ pozostaje mi 600, więc mam aż 200 złotych nadwyżki, z których mogę dołożyć coś do wyjazdu na letnie miesiące, pójść czasem do teatru, zrobić jakiś prezent imieninowy.

Uważam, że mi wystarcza, i jestem zadowolona, ale to jest 350 złotych na jedną osobę! I chyba bez zbytek.

To samo wystarczyć może rodzinie najwyżej na zaspokojenie głodu, na życie kulturalne nie.

Uporczywe przeczenie temu, wskazywanie, że: wielu ma jeszcze mniej (niestety, są i tacy, którzy nic nie mają, ale to jest przykład!) położenia nie poprawi; oszczędność jest konieczna, ale zawsze na podstawie, aby oszczędzać było z czego. To też słusznie, w swym doskonałym artykule „Kobieta a kryzys gospodarczy“, zaznaczyła p. Redaktorka Stefanja Podhorska-Okolów, że obok oszczędności, zastosować trzeba „znalezienie nowych źródeł dochodu, których dopływ umożliwiłby utrzymanie budżetu rodzinnego w pożądanej równowadze“.

To jest ważne i konieczne. Fakt, że przechodzimy kryzys, że mamy wszyscy trudne warunki finansowe, jest przykry, ale nie możemy wyciągać z niego (jak to się teraz zbyt powszechnie dzieje) konsekwencji narzekania, krytyki i desperacji, które są bezpłodne, lub obniżania wszystkich potrzeb, prowadzącego do ogólnej pauperyzacji.

Trzeba więc radzić, radzić czynnie i intensywnie. Znaleźć źródła dochodu. Jakże? Mam wrażenie, że te źródła są. W Polsce wiele rzeczy produkuje się za drogo, z wyliczeniem: każdorazowy duży zysk, przy małym obrocie; w Polsce jest i dużo rzeczy niewyzyskanych, przykład pierwszy z brzegu: jedwabnictwo; w Polsce zaczyna się dopiero racjonalna organizacja pracy i gospodarstwa domowego; wszystko to są drogi i do racjonalnej oszczędności i do zwiększania dochodów.

Pani Redaktorka „Bluszczu“ obiecała nam dawać wskazówki w szeregu artykułów; my ze swej strony możemy udzielać sobie spostrzeżeń, rad i przykładów. Może Panie zechcą wypowiedzieć się, w jaki sposób, zależnie od uzdolnienia, warunków rodzinnych, miejscowych i t. p., uważałyby za możliwe osiągnięcie nowych wpływów, nowych źródeł dochodu.

Irena C. — Warszawa.

### „Nie pożyczaj, zły obyczaj“.

Mądrość narodów to przysłowia. Ale nie samą mądrością człowiek żyje. Chcę moją sprawę wytoczyć na forum „Mównicy“, chcę się poradzić Pań-Czytelniczek: czy mam zacząć być mądry, czy... pozostać altruistą?

Jako urzędnik XI stopnia służbowego i jeszcze prowizoryczny, nie abonuję „Bluszczu“. Przesyła mi go, po przeczytaniu, pewna (daj jej Boże zdrowie!) starsza pani. Moja żona czyta, ale czytam i ja, jak równouprawnienie, to równouprawnienie! Od deski do deski czytam ciekawe artykuły, poezje, i myślę: Mój Boże, czy to nam tylko dwojgu trzeba to wszystko wziąć w siebie? I innym się przyda. Pożyczam. Entuzjazm. Tam się robi dobra robota! Wysoki poziom literacki, społeczny... Ale panu nie oddam, aż za dni parę, bo dałam mojej sąsiadce, przyjaciółce! Właściwie gwałtem porwała.

Okazuje się po X tygodniach, że ta przyjaciółka także przyjaciółkę ma, i t. d. i t. d...

Ostateczny rezultat: chcę oprawić roczniki z 1928, 29 i 30 roku, brak 20 numerów...

A książki? Kupuję same takie, do których, jak do przyjaciół, człowiek się przywiązuje, ale cóż? pożyczam i także nie oddaję. Ostatnio tom poezji Iłakowiczówny na przepadłe mi zaczytali. Więc jakże? Pożyczać, czy nie pożyczać?

Holstorp Henryk — leśniczy z Budzisk.

### Jak postępować (w odpowiedzi „Wychowawczyni“ p. S. F.).

Po przeczytaniu korespondencji Pani, chcę skreślić parę słów w poruszonym przez Szan. Panią przedmiocie wychowa-

Na śniadanie lub podwieczerek stanowi OVOMALTYNA najodpowiedniejsze pożywienie uzupełniające dla matek, dzieci, ozdrowieńców i starców, jednym słowem dla wszystkich, którzy potrzebują wydatnego odżywiania, aby móc nadążyć wymaganiom życia.

Próby wysyła na żądanie bezpłatnie  
**FABRYKA**  
**CHEMICZNO-FARMACEUTYCZNA**  
**Dr. A. WANDER**  
 SPÓŁKA AKC.  
**KRAKÓW B.L.**

OVOMALTYNA jest silnie skoncentrowanym wyciągiem słoju, świeżego mleka, jaj i kakao, zawierającym witaminy i lecytynę. Skutkiem tego Ovomaltyna wzmacnia organizm, daje wyczerpanym nerwom nowe sily i powoduje spokojny i wzmacniający sen.

Jedyna skoncentrowana odżywka witaminowa

# OVOMALTINE

DO NABYCIA W KAŻDEJ APTECE I DROGERJI

528

nia. Nie będę się powoływała na teorie i zasady pedagogów-wychowawców, których dzieła, jak Foerster'a np., znane są Pani zapewne, inaczej trudnoby naprawdę a nawet wprost niemożliwe, oprzeć się na własnym tylko i to może dość niewyrobionym poglądzie na tę sprawę i na własnym, może niewielkim, doświadczeniu wychowawczem.

W liście Pani uderzyła mię mocno zaakcentowana nuta jakiegoś zniechęcenia, jakiejś wprost bezradności (nie dziwnego, skoro się ma do wychowania aż 2-ch rozwydrzonych chłopaków lat 6 i 9-ciu). Korzystając więc z danego upoważnienia, pragnęłabym wyrazić swój „pogląd“ na tę kwestję.

Nie znam Pani bliżej i nie mogę, oczywiście, sądzić o tem, czy zadanie, którego Pani się podjęła, przyjmując trudne, b. odpowiedzialne (ale i wdzięczne zarazem) obowiązki wychowawczynie dwojga nieletnich dzieci (nie można wywnioskować z listu Pani, czy matka ich nie żyje, czy może, co gorsza, opuściła swe dzieci), przytem dzieci mocno zaniedbanych, jak sądzę z tegoż listu, powtarzam, nie mogę sądzić, czy zadanie to nie przeraża sił Pani i czy się zgadza z Jej powołaniem. Widzimy niestety nieraz, że obowiązków wychowawczynie podejmuje się dużo osób poprostu „dla kawałka chleba“, jak to mówią, i trudno potem się dziwić, że te osoby, nie będąc odpowiednio przygotowane i uzdolnione, stają się następnie „rozgoryczonemi“.

Takie wychowawczynie „z przypadku i konieczności“ nie zdają sobie nieraz sprawy, jaką ogromną i często niepowetowaną krzywdę wyrządzają oddanemu sobie pod opiekę dziecku, koszlwiąc nieraz niemilosiernie z natury nieudolne, może nawet o ujemnych cechach charakteru, niemniej może bardzo podatne na dobre wpływy, dusze dziecięce. Kaleczą więc często-króć swem pseudo „naukowym“ wychowaniem młodą i wrażliwą duszę dziecka.

Nie chciałabym zbytkiem otwartości urazić Pani, lecz czy już sam fakt stosowania przez Panią przykrych i upokarzających kar cielesnych może być dowodem dobrego uzdolnienia Pani do roli wychowawczynie? Dziecko, to taki sam „człowiek“, tylko „mniejszy od nas“, jak trafnie wyraża się p. Janina Strzelecka w swym artykule: „Za murami“, umieszczonym w tym samym, co i list Pani, numerze „Bluszczu“. Kary takiego rodzaju, choćby nie szkodziły pozornie, zawsze szarpia nerwami dziecka, zatruwają jego umysł i serce poczuciem przykrego upokorzenia, którego reakcją jest ta zaciętość, o której Pani wspomina: „to nic nie pomaga“, „dzieci same nigdy nie przeproszą“. Kary te więc zabijają ambicję w dziecku, które staje się prawie nieczułe na inne, łagodniejsze i więcej pedagogiczne, i sprawiają to, że naprawdę tylko brutalna przemoc może je zmusić do uległości woli starszych. Ile przykładów z tej dziedziny mogliby przytoczyć nieracjonalnie karani za swe wybryki w latach dziecięcych, dziś już dorośli ludzie! Jak bardzo takie postępowanie rozbudza złe i mściwe uczucia w dziecku, któremu wciąż się zdaje, że jest krzywdzone i że „starsi“ nadużywają swej przewagi nad nim.

U dzieci, w wieku pupilów Pani, refleksje po dobrym czy

złym postępku są zbyt jeszcze słabe, ażeby można było na nich opierać całokształt wychowania. Przytem zbytnią surowość budzi uczucie przekory, tak, że dziecko potem nieraz z przyjemnością „robi na złość“ starszym, krępującym w jego pojęciu to, co ono uważa za swe prawo: płatanie psot i figlów, korzystanie z czasu, z okazji do rozrywek i t. d. W celu zwalczania wad dziecka należałoby raczej stosować system powolnego, łagodnego i stanowczego zarazem, oddziaływania na jego strony dodatnie, budząc ambicję, chęć dorównania „starszym“, których dziecko podświadomie szanuje, jak rodzice, nauczyciele, rozumni, kochający dzieci i oddani prawdziwie swemu powołaniu.

Dzieci, powierzone opiece Pani, pozbawione są czulej i serdecznej opieki matki, dlatego tembardziej należy starać się wynagrodzić im tę niezasłużoną krzywdę losu i naprawdę im tę matkę zastąpić. Ojciec ich daje przecież Pani wielką swobodę postępowania, a że nie chce osobiście karać dzieci, to jest całkiem zrozumiałe. Przytem może nie należałoby wyróżniać jednego z tych chłopców, upokarzając drugiego tem wyróżnieniem. Powiada Pani, że „młodszy b. lubi“, bo ten jest zapewne grzeczniejszy! a starszy? Czy może raczej ten „starszy“ potrzebuje tem samem większej i serdeczniejszej opieki? Przecie ogrodnik więcej uwagi poświęca drzewku słabemu i krzywo rosnącemu, chcąc je wyprostować, niż tym, które rosną zdrowo i pięknie. W danym razie skrzywiony charakter dziecka, te złe skłonności, te „kłamstwa“ chorobliwe, czy nie mają głębszego źródła, niż samo tylko złe przyzwyczajenie? Może dziecko kłamię z obawy kary, albo kłamię dla popisu? Należy to zbadać i odpowiednio oddziaływać na nie; lecz nie wolno zmuszać go do poprawy groźbą i biciem, tylko łagodnym i stanowczym słowem.

Przedewszystkiem trzeba zważać na siebie samą, na własne usterki i błędy, które dziecko, „nie nie rozumiejące“, w lot chwytą i spostrzega. Należy wykorzystać tę jego zdolność spostrzegawczą i nadać jej odpowiedni kierunek. Niech dziecko samo zapragnie naśladować dobre przykłady i samo się niemi zainteresuje. Nie wystarcza jednak opowiadać mu tylko bajki w sensie moralnym, lecz budzić w niem raczej trzeba chęć naśladowania żywych przykładów z otoczenia. Jakąż podniętą dla ambicji choćby nieletniego chłopaka jest myśl: „kiedy dorosnę, będę taki, jak tatuś!“ Ten „tatuś“, albo „mamusia“, to wyrocznia dla dziecka, a w danym razie Pani jest tą „mamusią“. Trzeba tylko, żeby dziecko tych rodziców, czy wychowawców pokochało, zaufało im, nauczyło się być szczerem wobec nich, a wtedy tylko przestanie „nie słuchać“ i „kłamać“. Udoskonalenie własnej istoty duchowej, praca nad własnym „ja“, zapanowanie nad własnymi nerwami, humorem, słabością, będzie najlepszą drogą do serca dziecka i da możność wychowawcy skierowania odpowiednio jego uczuć i zdolności. Serdeczne i współczujące zajęcie się „małym człowiekiem“, umiejętna praca nad nim, nie pozostanie bez owocu i w przyszłości napewno przyniesie Pani radość ze spełnionego sumiennie, choć w trudzie i znoju, obowiązku.

Ludwika Turopiczówna — Łuck.





największe dobrodziejstwo  
dla włosów

PIXAVON  
Shampoo

PIXAVON

520

## WAKACJE MATKI I PANI DOMU

Słuszne i sprawiedliwe poczynania i rozporządzenia znajdują zawsze należyty oddźwięk i nieomal żywiołowe poparcie. Wszyscy obywatele przyswajają je sobie bardzo szybko, wciągając w krąg zdobytych praw i nabytych przyzwyczajęń.

Jednym z takich praw i zwyczajów jest kwestja urlopów — wakacyj. Każdy obywatel (dorosły, młodzieniec i dziecko) ma prawo i możność korzystania z odpoczynku w okresie letnim. Czas trwania tego urlopu i jego rodzaj uzależniony jest od wieku i stanowiska osobnika odpoczywającego.

Czyż jednak nie uderza fakt, że matka i pani domu, jako taka, nie ma zabezpieczonego *zwyczajowo* odpoczynku, chociażby należał się on jej prawnie? Odpoczynku, który w okresie odradzania się i rozkwitu przyrody staje się żywiołową, naturalną potrzebą każdej jednostki, jej gorącym pragnieniem, do którego urzeczywistnienia dąży wszelkimi sposobami.

Każda matka i pani domu, bez względu na stanowisko społeczne, układa plan spędzenia lata, stosownie do warunków rodzinnych. W tym planie uwzględnia się potrzeby wszystkich domowników, podporządkowuje się go ich osobom i wymaganiom. Rozważa się go z punktu widzenia zdrowotnego i materialnego, starając się uzyskać jaknajwięcej pożytku i przyjemności. Tylko — w takim planie nigdy (o, są nieliczne wyjątki!) nie uwzględnia się zdrowia i potrzeb matki i pani domu.

Jest matka i panią domu, przeto naturalnym jej obowiązkiem jest opieka nad dziećmi, poświęcenie się rodzinie. Jeżeli ma drobne dzieci i jest mieszkanką stolicy, większego lub mniejszego miasta — wyrusza zazwyczaj gdzieś w okolice podmiejskie. W ten sposób ojciec i pan domu ma możność częściowego chociaż spędzania czasu z rodziną, która żyje nieraz w

warunkach dość niewymyślnego prymitywu. Zabiera się bowiem z domu na letnisko tylko rzeczy najniezbędniejsze, bez których istotnie obejść się nie można.

Jak w takich warunkach łatwo prowadzić gospodarstwo, jak wygląda wygoda i higiena — wiemy doskonale z licznych obserwacyj! Weźmy chociażby sprawę czystości. Jeżeli w pobliżu jest morze, rzeka, jezioro lub staw — to, oczywiście, rodzina się kąpie. Jeżeli niema — to pozostaje do użytku miedniczka (dużej się nie wozi!) i skąpa ilość wody, którą trzeba nosić czasem zdaleka, a gorącą zdobywać z trudem. Wszelkie inne sprawy domowe można rozpatrzyć, oczywiście, pod tym samym kątem widzenia.

Jako ekwiwalent, ma się słońce, powietrze, ciżbę (o ile nie ma jej do dnia pianie kogutów i gęganie gęsi!). W takich warunkach matka i pani domu opali się trochę, przytyje, ale wraca z radością do domu, znużona i przygaszona letniskiem. Takie wakacje nie dają jej ani odrobiny wytchnienia, ani jednej chwili dla siebie, tak niezbędnej i nieodzownej dla każdej kulturalnej jednostki.

Pobyty w pensjonacie ze starszemi dziećmi jest dla matki i pani domu szczęśliwszem, chociaż kosztowniejszem rozwiązaniem. Odpada jej troska podstawowego prowadzenia rodziny i siebie. Ale widziałam matki dwóch synków po 4—5 lat, upadające pod brzemieniem bezustannego przebywania z dziećmi i ciągłego strofowania ich ze względów towarzyskich. Dla tych kobiet powrót do domu z wywczasów był najjaśniejszym marzeniem.

To zapoznanie słusznych praw matki i pani domu do należnego, osobistego odpoczynku jest niesprawiedliwością, spotykaną na każdym kroku. Wprzęgnięta w koło codziennych zobowiązań, wpleciona w drobne, szybko obracające się tryby, matka i pani domu nie umie i nie może się z nich wyzwolić. Obowiązek zabezpieczenia jej chociażby częściowego odpoczynku spada tedy na tych, z którymi współżyje.

Chcąc tę sprawę rozstrzygnąć, należy znaleźć zastępczynię, której powierzyć można dzieci i dom na

przeciąg pewnego, chociażby krótkiego czasu, a zmęczoną panią domu wyprawić na odpoczynek. Z początku będzie protestowała (jesteśmy przecież niezastąpione), będzie się niepokoila o swoich i dom, będzie tęskniła; ale odpoczynek zrobi swoje: da spokój, przywróci siły, odpręży nerwy. Łatwiej jej będzie po powrocie niejedno naprawić, na niejedno popatrzeć krytycznym okiem; łatwiej będzie podjąć nanowo i wykonać doniosłe, choć drobne, codzienne obowiązki, z których składa się życie.

Jeżeli poważne względy materialne i rodzinne nie pozwalają na wyjazd pani domu, wówczas należy pomyśleć o zorganizowaniu dla niej odpowiedniego prowizorium. Trzeba przejąć trochę jej obowiązków, zredukować własne wymagania, przestrzegać zachowania ciszy podczas popołudniowego jej wypoczynku i dać jej maksimum swobody.

A wszystko to nietylko dla jej dobra, ale i we własnym, dobrze zrozumianym interesie.

Śliczny przykład takiego współdziałania dała pewna rodzina amerykańska, przykład, który znalazł tam wielu naśladowców. Rodzina ta, skromnie uposażona, składająca się z matki, ojca i dwojga dzieci w wieku 10 i 14 lat, obywała się bez służącej, składając brzemień prac domowych na matkę—panią domu. W okresie szkolnych wakacyj, kiedy i ojciec korzystał z urlopu, rodzina ta ze względów materialnych pozostawała w mieście. Wyjazd zastępowały im tereny sportowe, plaża, parki, wycieczki podmiejskie.

Widząc zmęczenie matki, ułożono plan wypoczynku dla niej. Cały dom urządzono tak, jakby wszyscy mieli wyjechać: zwinięto dywany, nałożono pokrowce, zdjęto firanki, pochowano drobiazgi, zbędne ubrania, pozostawiając jedynie rzeczy najkonieczniejszej potrzeby. Ciężar ułatwionego w ten sposób sprzątania, ślania łóżek, czyszczenia butów i ubrań, zmywania i prowiantowania domu podzieliły pomiędzy sobą dzieci wraz z ojcem. Matka mogła rano dłużej poleżeć, poczem z przygotowanych produktów robiła śniadanie, wydawała odpowiednie dyspozycje i wychodziła na spacer. Wracła w porze przedobiedniej i, mając już wszystko przygotowane, wykończyła tylko obiad. Po obiedzie była znów wolna, rozporządzając czasem według własnego uznania. Praca domowa, rozłożona na sześć rąk, „palila się“ i bawiła nowicjuszy.

Po dwóch tygodniach takiego urlopu pani domu, wypoczęta, zdrowa, odrodzona i ożywiona, wróciła do swych obowiązków, doznając uczucia radości i głębokiej wdzięczności dla swoich, którzy tak serdecznie i sprawiedliwie podzielili się z nią odpoczynkiem.

Przykład ten, odpowiednio dostosowany do warunków, zlokalizowany, dałby się niewątpliwie i u nas zastosować w każdej rodzinie. Byłby wyrazem dobrze zrozumianych wzajemnych obowiązków, praw i serdecznego uczucia.

*M. Dobrowolska.*



*Dn. 15 maja uroczyste otwarto rospaniałą wystawę kolonialną w Paryżu. Fotografia przedstawia wjazd prezydenta Republiki francuskiej w otoczeniu orszaku na teren wystawy.*

### **ZWIEDZAJCIE MIĘDZYNARODOWĄ WYSTAWĘ KOLONIALNĄ W PARYŻU, W LASKU VINCENNES**

Czy chcecie zwiedzić świat w 24 godzinach?

Jedźcie na Międzynarodową Wystawę Kolonialną, która jest żywą syntezą gospodarki i egzotyki kolonialnej. Czy chcecie spędzić tanio i pożytecznie wakacje? Nie omieszkajcie skorzystać z jedynej okazji, jaką jest Wystawa Kolonialna w Paryżu. Liczne ulgi przysługują osobom, udającym się na Wystawę.

Nabywając KARTY LEGITYMACYJNE w Konsulatach Francuskich, w Polsko-Francuskiej Izbie Handlowej w Warszawie (ul. Szkolna 10), lub we wszystkich Biurach Podróży, za cenę 9 złotych, otrzymuje się następujące ulgi:

1. Wolny wstęp na Wystawę na przeciąg 15 dni;
2. zniżki na biletach kolejowych dla osób pojedynczych:
  - a) na kolejach polskich — 25%; na kolei francuskiej — odcinek Jeumont/Paryż — 30%;
  - b) zniżki na biletach kolejowych dla wycieczek (od 25-ciu osób): na kolejach polskich — 35%; na kolejach niemieckich i belgijskich — 30%; na odcinku Jeumont/Paryż — 30%;
3. można otrzymać karty wycieczkowe, ważne na 15 dni, umożliwiające dowolne korzystanie z 1 i 2 klasy wszystkich kolei francuskich:
  - cena biletu I klasy 1667 franków fr.,
  - cena biletu II klasy 1261 franków fr.;

rodzinom przysługują zniżki; możliwość przedłużenia terminu ważności tych kart;

4. 10% zniżki na biletach „Międzynarodowego Towarzystwa Żegluga Powietrznej“ na linii Warszawa — Paryż;
5. ulgowa miza francuska na przeciąg 30 dni.

Niezależnie od tego, tańsze ceny w hotelach i t. d.

Wszystkie Biura Podróży i Francuskie Linje Okrętowe organizują wycieczki zbiorowe na Wystawę z całkowitem utrzymaniem w ciągu podróży.

## ZAMIEJSKIE WYCIECZKI

Co roku, jednocześnie z rzodkiewkami, szparagami i młodą karotką, zjawiają się w prasie artykuły na tematy wycieczek, campingów, week-endów i t. p.

W każdym jest prawie to samo: jak to w Anglii i w Ameryce całe rodziny już w sobotę emigrują z dusznych miejskich murów, aby półtora dnia spędzić na łonie natury, używając słońca, odpoczynku i sportów. W każdym z tych artykułów czytamy, jakie to zagranicą są udogodnienia campingowe: przedsiębiorstwa, przygotowujące na żądanie namioty, lub specjalne campingowe domki; sklepy, gdzie można zażądać walizki z prowiantami i ekwipunkiem dla rodziców i czworga dzieci na 2 dni, i dostaje się eleganciki, lekki kuferek, w którym jest prowiant, naczynia, maszynka spirytusowa, serwetki, smoczek dla niemowlęcia i t. p.

Tego rodzaju artykuły, które mają być propagandą campingu, publiczność czyta trochę jak bajkę z 1001-ej nocy, trochę z zazdrością, że to zagranicą tak wygodnie, i w rezultacie nie posuwa to sprawy ani o krok naprzód.

Nietylko bowiem na tej drodze nie może się posunąć, ale, powiedzmy otwarcie, całe szczęście, że ta propaganda nie odnosi skutku.

Gdyby bowiem udało się wywołać taki spontaniczny okresowy odpływ ludności z miasta, mogłoby to przynieść szkody, które latami trzeba by naprawiać i wygładzać. Obozowisko nieumiejących obozować i niekulturalnych wycieczkowiczów może wprawdzie dać im samym pewną sumę korzyści i zadowolenia, ale nie nauczy ich niczego, przyniesie szkody z punktu widzenia ochrony przyrody i piękna krajobrazu oraz wywoła zupełnie zrozumiały zakaz właścicieli terenów, którego cofnięcie trudno później uzyskać.

To też jedyną racjonalną drogą jest stworzenie organizacji, czy klubu campingowego. Klub taki mógłby uzyskiwać tereny, dając gwarancję za swoich członków, że ich nie zniszczą, wpływać na wytwarzanie w kraju odpowiedniego sprzętu (namiotów, walizek, przyborów gospodarsko-obozowych, spiworów), uzyskiwać udogodnienia w komunikacji. Społecznie działająca taka organizacja miałaby również doniosłe znaczenie, krzewiąc idee ochrony przyrody, poczucie odpowiedzialności społecznej, poszanowania cudzej własności, umiejętność współżycia z przyrodą; wreszcie dopomogłaby bardzo sprawie racjonalnego wychowania fizycznego, ucząc wykorzystania chwil, wolnych od zajęć, na zdrowy ruch, sporty i ćwiczenia.

Organizacja, czy klub taki musi powstać i powstanie z pewnością; zanim jednak rozpocznie swoją działalność, mnóstwo osób będzie jeszcze organizo-

## Kolory materjały i ręce



chroni łagodna  
piana  
płatków mydlanych

# LUX

**Obecnie znacznie tańsze!**

504

wało wycieczki jednodniowe za miasto, urządzając je, jak to się mówi, „własnym przemysłem“, i drogą gorzkich doświadczeń zdobywając wprawę w biwakowaniu.

Ponieważ przy organizowaniu zamiejskich wycieczek w gronie rodziny i znajomych najwięcej przygotowań spada na kobiety, a sama wycieczka dla nich, ze względu na mniejszą wytrzymałość i wyrobienie fizyczne, bywa bardziej męcząca — postaram się sformułować kilka praktycznych wskazówek, które mogą się przydać niedoświadczonym niedzielnym turystom.

Ponieważ po wycieczce (jeżeli ma ona przynieść korzyść dla zdrowia) nie powinno się odczuwać silnego zmęczenia, a co najwyżej lekkie znużenie ruchem na świeżym powietrzu — trzeba pamiętać o tym, aby nie odbywać zbyt długich marszów. Stosować je trzeba do wieku, sił i wyrobienia uczestników. Dla wycieczek, w których skład wchodzi małe dzieci, osoby starsze, niewysportowane lub słabowite, najodpowiedniejsze będzie rozłożenie obozu niedaleko od miejsca przybycia i ewentualne użycie ruchu przy grach lub zabawach, co daje większe korzyści zdrowotne, niż jednostajny ruch w marszu.

Pamiętać należy o odpowiednim ubraniu — bez tego odpoczynek sprowadza się do zera, lub wycieczka daje wogóle rezultat ujemny. Suknia, czy obuwie,

na które trzeba uważać, przekreślają absolutnie odpoczynek nerwów, jaki może dać wycieczka.

Suknia, lub obuwie, już lekko zniszczone, mogą nie ponieść widocznej szkody na wycieczce, ale obuwie zupełnie nowe *nigdy* nie wróci w stanie zupełnej świeżości, bez uszkodzenia choćby drobnego, lecz takiego, które nie da się usunąć, np. jakiejś rysy na delikatnej skórcie pantofelka, pozielenienia i t. p. Z tem musimy się liczyć, jeśli nie chcemy na długie tygodnie popsuć sobie humoru zniszczonym najlepszym strojem.

Kobieta, choćby najbardziej pragnęła kogoś oczarować, powinna pamiętać, że na wycieczce gra rolę jej swoboda ruchów, wdzięk i humor, a nowe pantofelki i suknia mogą wywołać wrażenie tylko w pierwszej chwili, później zaś schodzą na drugi plan. Niema zaś nic gorszego na wycieczce, niż kwaśny i zły humor towarzyszki, która rozdarła najlepszą suknię, lub ma niewygodne pantofle, wtedy, gdy jej partner rozkoszuje się ruchem, zabawą i swobodą!

Tania sukienka, ale świeża, czysta, uszyta, tak, aby nie hamowała ruchów; wygodne, choć mniej ładne obuwie, ale zato dające możliwość stawania do wszelkich improwizowanych zawodów; dotrzymanie placu we wszystkich grach, prawdziwa zdrowa radość — oto co stanowi o wdzięku kobiety na wycieczce i zapewnia jej powodzenie.

Ostrzec tylko muszę przed jednym: jeżeli ktoś przyzwyczajony jest nosić *zawsze* obuwie na wysokich obcasach, niech nie kładzie na wycieczkę po raz pierwszy zupełnie sportowego obuwia, ani tembardziej tenisowych pantofli *zupełnie* bez obcasów, bo odpokutuje to długotrwałym bólem mięśni w stopach i pod kolanami. W takim wypadku trzeba wziąć wygodne i rozchodzone obuwie na nieco niższym obcasie (półsłupku).

Bardzo pożądaną, nawet konieczną rzeczą przy dłuższym marszu są wełniane skarpetki, które zapobiegają obtarciom nóg i powstawaniu pęcherzy, co trafia się nawet przy wygodnym obuwiu, używanem tylko w mieście. Pochodzi to stąd, że po miękkim terenie stąpa się nieco inaczej, wskutek czego wygodne dotąd obuwie zaczyna niespodziewanie uwierać.

Dla uniknięcia odparzenia i obtarcia, nawet przy wełnianych skarpetkach, dobrze jest przed wycieczką posmarować nogi łojem kozłowym (kupuje się go w aptekach w postaci laseczek, zawiniętych w stanjol), lub dokładnie posypać talkiem.

Przy rozkładaniu obozu nad wodą trzeba pamiętać o wzięciu ze sobą kostjumów kąpielowych.

Przy silnem zmęczeniu nóg podczas wycieczki unikać trzeba moczenia ich w bardzo zimnej wodzie, zmęczenie bowiem ustępuje tylko w pierwszej chwili po tym zabiegu, a później wraca jeszcze silniejsze uczucie pieczenia i obrzęku. Jeżeli koniecznie chcemy dać nogom odpoczynek, dobre będzie brodzenie w płytkiej wodzie, wygrzanej słońcem, albo chodzenie w chłodnej trawie, lub wreszcie, bez zdejmowania obu-

wia, położenie się tak, aby nogi oparte były wygodnie na jakimś podwyższeniu. Dobry stan nóg i żołądka, to najważniejsze czynniki dobrego samopoczucia na wycieczce. Staranie o żołądek jest też rzeczą ogromnie ważną wobec znanej powszechnie słuszności przysłowia, że polak, kiedy głodny — to zły.

Ogólnie znane i odpowiednie na wycieczkę produkty to: chleb, masło, twaróg lub ser, jajka, rzodkiewki, ogórki, owoce, cukier, czekolada, pierniki, świeżo pieczony drób lub mięso. Unikać trzeba konserw i rzeczy, których „wieku“ nie możemy stwierdzić.

Nie wahajmy się nigdy wyrzucić mięsa, choćby najlżej podejrzanego o nieświeżość, gdyż zatrucie jadem mięsnym (najczęstsze są zatrucia kiełbasą, w której pieprz i domieszka czosnku gęszą smak, właściwy psującemu się mięsu) powoduje jeśli nie śmierć, to długotrwałe i skomplikowane przykre następstwa.

Przenosić prowiant najwygodniej w plecaku, gdyż noszenie paczek w ręku jest uciążliwsze, jako bardziej hamujące swobodę ruchów. Każda rzecz powinna być zawinięta w czysty papier — mięso i ser w papier, nie przepuszczający tłuszczu. Masło najlepiej zapakować w kubeczek lub maselniczkę (głęboką) tak, aby ewentualnie można je było ochłodzić przez wstawienie w zimną wodę.

Nawet, jeśli nie bierzemy napojów, licząc na produkty miejscowe, trzeba wziąć naczynia do picia ze względów higienicznych.

Koniecznym dopełnieniem gospodarstwa na postoju będą: serweta, na której rozstawiamy jedzenie, serwetki bibułkowe i ściereczka do wytarcia, lub zawinięcia naczyń.

Prawdziwie kulturalnych ludzi poznaje się po tem, jak likwidują biwak. Z własnych niewesołych obserwacji wiem, że ani cenzus naukowy, ani stanowisko społeczne, ani umiejętność zachowania się w salonie nie daje gwarancji, że dany człowiek po swoim posiłku wycieczkowym nie zostawi w trawie papierów, niedopalków i skorupki od jaj.

Jest to okoliczność, w której wrodzone chamstwo wyjdzie poprzez dziesiątą skórę. Skutki tego braku kultury znamy wszyscy z wyglądu podmiejskich łąk i lasów, i dlatego to prawdziwi, zamiłowani, kulturalni turyści tak nie lubią ceprów, patalichów, majówkowiczów, dlatego w głębi duszy ze zgrozą myślą o rozpowszechnieniu się zwyczaju wycieczek.

To też każdy powinien uważać poprostu za społeczny obowiązek krzewienie kultury obozowania przez zwracanie uwagi na czystość po zwinięciu biwaku, w którym się bierze udział, i przez wpajanie w dzieci przyzwyczajenia do takiej czystości.

Bowiem sprawa propagandy campingów i wycieczek wśród ogółu ludności miejskiej, prócz wielu trudności organizacyjnych, ma do zwalczania trzy najcięższe przeszkody: skorupka od jajka, papierek i zwiędły pęk nikomu niepotrzebnych kwiatów i gałęzi.

J. Prażmowska.

## MRÓWKI — MOLE — MYSZY

Częste skargi czytelniczek na przykre nad wyraz plagi wiosenno-letnie pod postacią nieznomych szkodników — im drobniejszych, tem dokuczliwszych, bo trudniejszych do wytepienia — skłaniają nas do podania różnych sposobów walki z nimi.

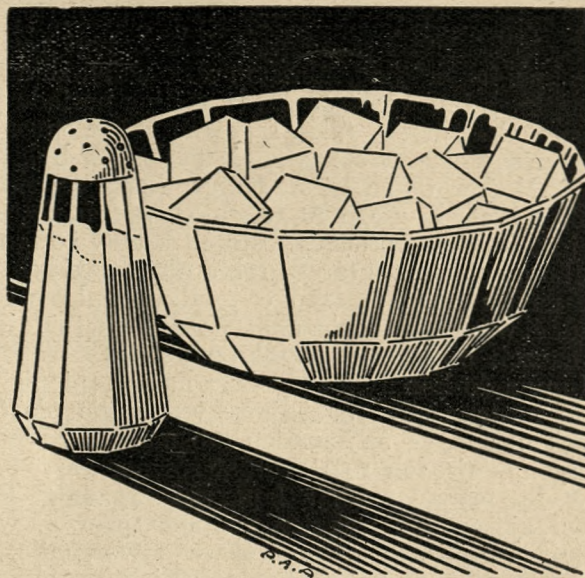
**Mrówki.** Nadzwyczaj trudno pozbyć się tych małych wrogów, wślizgujących się najmniejszą szparką i niszczących wszelkie pokarmy, które nęca ich delikatne powonienie. Trzeba przede wszystkim wypatrzeć drogi, które dostają się do mieszkania, pozalewać je kwasem karbolowym, w murach pozalepiać dziury kitem, aby odciąć mrówkom możliwość dostania się z zewnątrz, i dopiero rozpocząć tępienie tych, które już rozgospodarowały się w szafach i spiżarniach. W miejscach, gdzie się najbardziej gromadzą, rozsypywać sproszkowany alun, mieszaninę soli kuchennej z boraksem; wypędzać je z miejsc, gdzie się osiedliły, zapomocą wdmuchiwania mieszkem w szczeliny boraksu z cukrem.

Słoje z konfiturami, puszki i pudełka, w których przechowuje się słodycze, obsypywać wokół popiołem drzewnym, albo smarować mocnym odwarem tytoniu. Do szorowania podłóg i półek w miejscach, gdzie są mrówki, trzeba dolewać do rozbitego szarego mydła z wodą trochę nafty. Mrówki nie znoszą wszelkich ostrych zapachów i uciekają od nich, to też kit, którym zalepia się dziury w murach, trzeba robić z kredy, oleju lnianego i nafty; większe, w podłogach, zalewać cementem. Powtórnie kładę nacisk na dokładne opatrzenie ścian i podłóg, bo przy ciągłym napływie mrówek z zewnątrz próżna byłaby walka z wewnątrz. Można w miejscach, gdzie grasują mrówki, rozłożyć świeżych liści i lodów z pomidorów — mrówki nie znoszą ich odoru, jak również i zapachu chmielu.

Jednym z najlepszych sposobów wytepienia mrówek jest następujący: czysto wypłókaną zwykłą gąbkę wysuszyć, umoczyć w gęstym syropie z cukru, położyć na talerzu i postawić w miejscu, gdzie się te szkodniki gromadzą. Zwabione zapachem cukru, wkrótce okryją gąbkę tak grubą warstwą, że znać jej z pod nich nie będzie; wtedy trzeba wrzucić ją w głębokie naczynie, pełne ukropu, pozostawić w nim chwilę, następnie wypłókać, wymyć, wysuszyć i powtórnie umoczyć w cukrzany syropie. Jeżeli gniazda mrówek zostały poprzednio dokładnie zniszczone, jest to najpewniejszy sposób pozbycia się w krótkim czasie tych nieznomych owadów.

Zbadawszy dokładnie dróżkę, którą mrówki dostają się do mieszkania, trzeba pociągnąć wzdłuż niej linijką kawałkiem naftaliny: wystarczy, żeby raz po niej przeszły, aby wyzdychały. Sól kuchenna działa podobnie, choć nie posiadając odoru, nie jest tak skuteczna. Dobre również jest rozstawienie w pokojach, gdzie się mrówki pokazały, kilku co najmniej pół litrowych garneczków prostych, bez dzióbek i z nieuszkodzoną polewą; napełnić je do połowy syropem kartoflanym, cukrowym lub rozcieńczonym miodem, zawiązać szczelnie ciemnym, sztywnym papierem, w środku którego zrobić otworek wielkości ziarenka fasoli, tak, aby wewnątrz było zupełnie ciemno. Mrówki zwęszą słodycz, wejdą do garnka i będą się w nim topiły.

Dobrym także środkiem przeciwko mrówkom są suche drożdże, polane miodem, lub posypane cukrem i rozsypane na talerzach. Mrówki rzucają się na nie żarłocznie i giną od rozsadzających je drożdży. Można



### Szczypta cukru, szczypta soli — to najlepsza przyprawa.

**Przyprawa taka podnosi znakomicie smak potraw, czyniąc zbędnym używanie przypraw korzennych.**

Szczypta cukru, dodana podczas gotowania do wszystkich prawie potraw, jarzyn: zielonego groszku, fasolki, marchwi, szpinaku, kalafiorów, kartofli, brukselki, kapusty i pomidorów, do potraw mięsnych, ryb, klusek, kaszek, zup z płatków owsianych, jak również innych zup, nadaje każdej z tych potraw właściwy jej smak, podnosząc nadto jej wartość odżywczą.

508

### *szczypta soli-szczypta cukru*

wysypać miejsca, opanowane przez mrówki, mieszaniną boraksu w proszku, mąki i cukru w równych częściach. Środki te są tem bardziej do zalecenia, że trują nie tylko mrówki, ale i inne domowe robactwo.

Mrówki w ogrodach na drzewach owocowych, w ulach, unieszkodliwia się, rozwieszając cienkie muslinowe woreczki, napełnione wnętrzościami ryb, które, rozkładając się, odpędzają swym wstrętnym odorem specjalnie nieznoszące go owady. Wystarczy włożyć w ich gniazdo kawałek nieświeżej ryby, lub rozlać parę łyżek tranu, aby wyniosły się natychmiast. Jeżeli mrówki niszczą w ogrodzie owoce, najlepiej przywieźć z lasu w worku dużych leśnych mrówek, zebranych wraz z mrowiskiem, wysypać je na grzędy i pod drzewa owocowe. Natychmiast urządzić polowanie na małe mróweczki, których nienawidzą, a wytępiwszy je doszczętnie, wyniosą się, nie czyniąc nikomu więcej krzywdy.

**Myszy.** Oprócz zasadniczych sposobów tępienia myszy — jak koty, pułapki, nieszkodliwe dla innych zwierząt domowych szczepionki tyfusu, które rozkłada się po kątach i norach oraz mniej bezpieczna, zatruta arsenikiem pszenica — używane są również z lepszym lub gorszym rezultatem rozmaite środki domowe. I tak, aby uchronić mieszkanie przed najściem myszy, trzeba rozkładać pod meblami wiązeczki rumianku i mięty pieprzowej; myszy, nieznoszące zapachu tych roślin, wynoszą się czem prędzej. Dobrze jest również rozsypać kamfory tłuczonej wokół ich nor, albo utrzeć liści z oleandru na proszek, wymieszać z suchym piaskiem i zasypać nim dziury, w których myszy się kryją; nadewszystko nie znoszą zapachu oleandru i uciekają z nor natychmiast.

W miejscach, gdzie myszy się zagnieżdżyły, rozsypuje się liście i zgniecione młode łodygi rośliny, zwanej „psi język“ (cynoglossum officinale), zbieranej w początkach lata w porze, kiedy roślina posiada najsilniejszy odór; myszy tak go nie znoszą, że opuszczają na dłuższy czas miejsca, gdzie ta roślina była rozsypana. Można także utłuc 60 gr. szkła na mialki proszek, dodać do niego 30 gr. cukru-pudru, dosypać żytnej mąki, dolać mleka prosto od krowy i zagnieść wszystko na ciasto, z którego robić piguleczki; obsmażyć je na tłuszczu, utarzać w mialkim cukrze i porozkładać w mysich dziurach: bardzo chętnie jedzą przysmaczek, od którego szybko zdychają.

Innym doskonałym sposobem na wytępienie myszy jest następujący: pokrajany w cienkie plasterki koreczek obsmażyć na szmalcu lub maśle i rozrzuć w różnych miejscach, rozstawiając równocześnie spodki z wodą: myszy zjadają łapczywie grzanki, które sprowadzają wielkie pragnienie, a pod wpływem wody pęcznieją i zabijają nieszczęśliwe stworzonka. Zamiast korka można użyć drobno pokrajanej gąbki, która, tak samo zastosowana, daje te same rezultaty. Zbyteczne chyba nadmieniać, że do miejsc, gdzie się rozkłada smażone korki lub gąbki, nie powinny mieć dostępu inne zwierzęta, mogłyby bowiem spróbować tych przysmaków i łakomstwo swoje ciężko odpokutować.

Trucizną dla myszy są również drobno posiekane gorzkie migdały, obsypane grubo mąką i cukrem, stanowiącym dla nich silną przynętę; środek ten nie działa piorunująco, nie mniej jest niezawodny.

**Mole.** Jak czytelnikom naszym wiadomo, najlepszą ochroną przed molami jest bezwzględna czystość, staranność i zabezpieczenie rzeczy od wpływów zewnętrznych. Nawet garderoba, służąca do codziennego użytku, nie powinna zostawać na wierzchu, ale oczyszczona zaraz po zdjęciu, musi być schowana do przeznaczony na ten cel podręcznej szafy, mole bowiem nigdy nie zalęgają się wewnątrz rzeczy, o ile nie są do nich wprowadzone z zewnątrz.

Częste trzepanie i czyszczenie jest najpewniejszą ochroną przed molami, a także pokrowce z materiału, lub świeżo wprowadzone w użycie torby papierowe, jeżeli nie hermetycznie, to przynajmniej bardzo szczelnie zamykane, w które wkładamy oczyszczone i wyflitowane ubrania. W Warszawie odkurzacz, na wsi trzepaczka, a tu i tam flit, są najlepszym zabezpieczeniem od moli. Jest ich co prawda tak wiele gatunków, że jedzą wszystko, nietylko futra i wełnę, ale jedwabi, koronek, iluzyj, nawet płótna nie ochroni się przed nimi, jeżeli zaniedbamy drobiazgowego porządku.

Kto miał nieszczęście wprowadzić mole do szaf lub mieszkania, niech próbuje tępić je jednym z następujących środków. Dobrze działa okadzanie szaf i pokoi rozcieńczonym amonjakiem, z którego wydzielająca się para zabija mole i ich zarodki. Zapach świeżej, w pełnym rozkwicie, macierzanki, włożonej w małych przezroczystych woreczkach między białiznę, ubrania i futra, chroni je od moli; tak samo działa kwiat lawendy i konopie. Kto pali kawę w domu, powinien gorące jeszcze jej ziarna z młynkiem postawić w szafie, zamknąć ją szczelnie i poczekać, aż kawa ostygnie. Silny jej aromat zabija mole wraz z zarodkami. Zabezpieczając na lato zimowe ubrania, futra i płaszcze przed molami, trzeba zwrócić szczególną uwagę na wewnętrzną stronę kieszeni i spody kołnierzy, które trzeba specjalnie oczyścić i przesycać jednym z silniejszych środków od moli.

Jeżeli pokażą się mole w meblach wyściełanych,

trzeba po wytrzepaniu i wyczyszczeniu ustawić meble na drewnianym podwyższeniu (przynajmniej na 25 cm. nad ziemią), podstawić pod nie blaszane talerze lub blachy, włożyć na nie węgli drzewnych, obsypać kwiatem siarczanym i w jego dymie trzymać je co najmniej 12 godzin. Naturalnie, drzwi i okna podczas kadzenia muszą być szczelnie zamknięte.

Mole z dywanów wytępią się zapomocą grubego, mokrego płótna, nasyconego silnym roztworem alunu, którym okrywa się dywan, obrocony na lewo, i zostawia tak aż do wyschnięcia. Dla zabezpieczenia nowych dywanów od moli trzeba od czasu do czasu odwracać je na lewą stronę, nakrywać płótnem, maczanem w mocnym, gorącym roztworze amonjaku, i prasować ostrożnie, nie przyciskając zbyt mocno, gorącym żelazem.

Chowając rzeczy zimowe, trzeba uważać, aby nie miały tłustych plam, w szczególności miejsca prze pocone powinny być starannie wyprane terpentyną.

Przed wyjazdem na lato należy mieszkanie oczyścić siarką, dywany po wytrzepaniu przełożyć gazetami, ciasno zwinąć i zaszyć w płótno z konopi, pozamykać szczelnie pokoje i pozasłaniać okna. Trzeba porozkładać po całym pokoju gałązki świeżych konopi, które, schnąc, wydzielają nieznośny dla moli zapach.

J. S.

## PIĘTNAŚCIE PROCENT

Cyfra, która napawa przerażeniem większość pań domu spośród pracującej inteligencji. Bo nietylko urzędnik i jego rodzina odczuje brak tej, prawie szóstej części zarobku: tyleż stracą nieomal wszyscy ludzie pracy. Kupiec — przez mniejszy odbyt towarów; fabrykant i rzemieślnik — przez mniejszą ilość obrotów; szewc, krawiec, szwaczka i modniarka — przez przymusową oszczędność w ubraniu pana, pani i dzieci; księgarze i wydawcy — przez jeszcze bardziej zmniejszoną ilość sprzedanych książek, przez skurczenie się abonamentu czasopism. To nietylko urzędnikom zmniejszono pobory: to obniżono o piętnaście procent całą skalę życia kraju. Przyczyny i skutki zalegają się tu do nieskończoności.

A jednak żyć trzeba. Trzeba być schludnie ubranym — czystość i porządne utrzymanie ubrania powinny starczyć za elegancję. Mieszkać też dalej trzeba w tym samym lokalu, gdyż minęły te czasy, kiedy, jeśli mieszkanie jedno było nam za drogie, za obszerne, od kwartału zmieniało się je na mniejsze, tańsze. Jeżeli użyć nielegalnego środka: sprzedaży jednego, a kupna drugiego mieszkania — to, po opłaceniu pośredników, gospodarza, administratora i t. d., po sprzedaniu sześciopokojowego lokalu nie starczy na kupno dwupokojowego. A tu jeszcze, jak miecz Damoklesa, wisi na głowę zmiana, albo zupełne skasowanie ochrony lokatorów, „lex“ może nieco komunistycznego, lecz broniącego liczne rzesze pracowników wszelkiego rodzaju od ostatecznej nędzy.

Książka, teatr, kino, jakieś ładniejsze pismo ilustrowane, wszystko, co stanowiło miłą rozrywkę po całodziennej pracy — staje się niedostępne; dobrze, jeśli ocaleje gazeta codzienna, ten łącznik z szerokim światem.

Nie można wszak odmówić dzieciom choć miesięcznego pobytu na wsi lub nad morzem, nie można ich pozbawić jakiegoś sportu na świeżym powietrzu: wszak bez tych warunków nie wytrzymają dłużej

zimy i trudów szkoły — mogą poważniej zachorować.

A jednak trzeba wprowadzić jakieś radykalne oszczędności.

Przeciętna, średnio zamożna gospodyni domu, nietylko w Ameryce, lecz i we Francji i w Niemczech, nie posiada wogóle służby stałej i wybornie daje sobie bez niej radę. U nas, niestety, warunki mieszkaniowe i różne inne, przeważnie na to nie pozwalają. Rozkład mieszkań, przepełnienie ich meblami i drobiazgami, brak wind służbowych i stale utrudniona dostawa węgla do mieszkań; blachy kuchenne i piece węglowe, trudne do opalania; konieczność wczesnego przynoszenia mleka i pieczywa — wszystko to, jak i wiele innych przyczyn, składa się na niemożność obchodzenia się bez pomocy w gospodarstwie.

Sądzą jednak, że zastąpienie stałej, zawsze bardzo kosztownej służącej, przez posługaczkę, przychodzącą na godzin parę, dla spełnienia najcięższych prac, poważnie ulżyłoby niejednemu budżetowi. Wszak nie pensja służącej jest rzeczą najkosztowniejszą, lecz utrzymanie, lecz masa światła i opału, zużywana przez taką wielką panią, jaką jest przeciętna sluga.

Byłych służących, obecnie żon niedostatecznie zarabiających lub zupełnie bezrobotnych mężów, jest po miastach bardzo wiele. Zarobek kilkunastu lub kilkudziesięciu złotych jest dla nich bardzo pożądany. Przy dobrej chęci wykonania wszystkich prac umówionych, idą one składnie i szybko. Taka Antonia, czy Walentowa w trzy godziny codziennie, a przez dwa dni na większe porządki i pranie miesięcznie — zrobi to wszystko, na co wymanicuirowana i nosząca jedwabne pończochy, panna Kasia czy Frania zużywa dzień cały.

Podział prac między panią domu, a przychodnią posługaczką, może być ułożony w taki sposób, że wszelkie uciążliwe prace, wszystkie cięższe dostawy, zmywanie naczyń kuchennych i stołowych, palenie w piecach — zostaną zgrupowane na kilka godzin, tak, że pracowita posługaczka, pobudzana przez chęć większego zarobku dla swojej rodziny, dwa i trzy domy w ciągu pół dnia obsłużyć potrafi.

Pani pozostanie tylko ugotowanie obiadu i kolacji, z już przygotowanych produktów, podanie i sprzątnięcie ze stołu, posłanie łóżek na noc i zakup tych produktów, których osobie mniej wprawnej powierzyć nie można.

Wiem, że ten projekt natrafi na silny sprzeciw, lecz śmiem twierdzić, że większość pań, które taką reformę zaprowadziły, są z niej bardzo i bardzo zadowolone. Rzucam tylko projekt, luźny projekt, do przyjęcia — lub nie!

Ponieważ zaczęłam dzisiaj specjalnie się zastanawiać nad różnymi oszczędnościami, jakie możemy do naszych gospodarstw wprowadzić, sprawa obycia się bez stałej służącej pierwsza mi się, że tak powiem, nawinęła. W następnych artykułach będę poruszała kwestje oszczędzania opału, czasu i artykułów, używanych do prania, możliwych bez szkody dla zdrowia reform w odżywianiu się; jednak wątpię, aby wszystko to razem wyniosło tak poważną kwotę, jak usunięcie z domu stałej służącej. Naturalnie, że obliczenia moje mają za podstawę ceny i zwyczaje

## ZADANIE PREMJOWE SHAMPOO ELIDA

### REZULTATI

GŁÓWNE NAGRODY OTRZYMAŁI:

I Nagrodę Zł. 1000

Marja KOSIŃSKA, Warszawa, ul. Kopernika 34

II Nagrodę Zł. 500

Danuta FENGLERÓWNA, Poznań, ul. Wyspiańskiego 15

III Nagrodę Zł. 250

Zofia GRZESIAKÓWNA, Kraków ul. Garbarska 14

Pozatem 3130 osób otrzymało dalsze nagrody, o czym każdy z wygrywających zawiadomiony został listownie. Rozesłanie nagród nastąpi w najbliższych dniach. Firma Elida dziękuje wszystkim którzy brali udział w rozwiązaniu zadania!

Cała Polska interesowała się naszym Zadaniem Premjowym a ilość nadesłanych odpowiedzi wyniosła przeszło 40 000! Dziesiątki tysięcy osób orzekły na podstawie swego doświadczenia, iż najważniejsze zalety Szamponu Elida idą w następującej kolejności:

## SHAMPOO ELIDA

- 1 doskonale oczyszcza włosy
- 2 nadaje im jedwabista puszystość
- 3 jest nader wydajny w użyciu
- 4 jest tani



Dlatego setki tysięcy Pań i Panów używają

SHAMPOO ELIDA

je stołeczne. Pensja przeciętnej służącej wynosi w Warszawie około czterdziestu złotych i właśnie te względnie tanie służące są najkosztowniejsze. Zepsute przy gotowaniu produkty, nieużytkowane nalezytkie resztki; potłuczone, zniszczone naczynia stołowe i kuchenne; przeżarte brudem ścierki; stępione i połamane lupaniem drewna noże kuchenne — oto częściowo tylko obraz strat, jakie taka „pomocnica” przyczynia. Przy gospodarowaniu samej pani rzeczy te, będąc ciągle u niej na oku, napewno dwa razy tyle przetrwają.

Lecz wróćmy do rachunków: więc 40 złotych pensji; wyżywienie najskromniejsze, licząc tylko po 2 zł. 50 gr. dziennie — 75 złotych. Światło w kuchni i pokoju służbowym, nieraz całe noce palone — 5 złotych tylko, oraz drugie tyle na mydło do prania bielejczy i węgla, zużywany na to pranie; a jeżeli jest gaz — to jeszcze tyle na grzanie rurek, żelazek do prasowania, przygrzewanie potraw dla siebie i kawy dla swoich gości. Wyniesie to więc 130 złotych miesięcznie. Cena dobrej posługaczki na trzy godziny dziennie wynosi około 45 złotych miesięcznie (młode dziewczynki można już mieć za 20 — 25



**OBUWIE**  
dziecięce i dla młodzieży

**J. Bocheński**  
**i Fr. Raczek**

**Nowy-Świat 1.**  
(Przy Placu Trzech Krzyży)

złotych). Jeżeli dodamy dwa dni całe à 5 złotych, i wyżywienie po 2 zł. 50 gr. dziennie = 5 złotych, to posługaczka będzie nas kosztowała około 60 złotych miesięcznie, czyli 70 złotych zaoszczędzimy. Ładny kawał grosza, nieprawdaż?!

*Pani Elżbieta.*

**PRZEPISY GOSPODARSKIE**

**GRZANKI NA PRZEKASKE.**

1. Z pszennego chleba ukrajać równe grzanki, grubości półtora centymetra, długie na dziesięć a szerokie na sześć centymetrów. Jedną stronę każdej grzanki posmarować lekko masłem i ułożyć grzanki na brytfannie posmarowaną stroną w dół. Na każdej grzance położyć średniego rozmiaru sardynkę i polać grzankę łyżeczką oliwy z sardynek. Na dziesięć do dwunastu takich grzanek zrobić sos pomidorowy, tak gęsty, aby nie spływał z łyżki, biorąc nań dużą łyżkę mąki, tyleż masła z których należy zrobić zasmażkę, włożyć w nią ze cztery łyżki gęstej konserwy pomidorowej, rozprowadzić dwiema szklankami rosolu lub wody (w ostatnim razie włożyć do sosu kostkę buljonu). Dusić sos wolno, aż należycie zgęstnieje, osolić do smaku, dodać odrobinę białego pieprzu. Ostudzić. Zimnym nakładać grzanki tak, aby sardynki były zupełnie przykryte. Posypać grubo ostrym, tartym serem. Na kwadrans przed podaniem wstawić do gorącego pieca. Grzanki muszą ładnie się zrumienić od spodu, a ser, topiąc się, powinien uformować na nich smakowitą skorupkę. Podawać bardzo gorące, wprost z pieca.

2. Z pszennego chleba pokrajać równe, czworokątne grzanki, grube na półtora centymetra, a na sześć centymetrów długie i szerokie. Na dwanaście takich grzanek ugotować w rosolu lub smaku na barszcz kawał wołowej rury ze szpikiem, długi conajmniej na dwadzieścia centymetrów. Aby szpik nie wypłynął, należy oba końce rury obwiązać czystą szmatką, mocno osznurowaną niemi. Gdy szpik się ugotuje, wyrzucić go z rury na deseczkę, dać zupełnie ostygnąć, poczem dopiero pokrajać go na tyle równych płatków, ile mamy grzanek. Grzanki z obu stron posmarować cienko masłem, ułożyć na brytfannie. Na każdej położyć kawałek szpiku. Całą grzankę posypać bardzo grubo ostrym, tartym serem. Na dziesięć minut przed podaniem wstawić w gorący piec. Szpik przed posypaniem serem należy osolić i lekko popieprzyć. Warstwa sera powinna być tak gruba, aby przy rozgrzaniu uformowała skorupkę, nie dającą się zupełnie roztopić brylce szpiku. Podawać bardzo gorące, wprost z pieca.

3. Z pszennego chleba wykrajać okrągłe grzanki, grube na półtora centymetra, a mające około sześciu centymetrów w przecięciu. Posmarować grzanki cienko masłem z jednej tylko strony i ułożyć tą posmarowaną stroną na brytfannie. Ile mamy grzanek, tyle dużych pieczarek udusić w maśle, nie wysuszając ich zanadto. Nóżki z tych pieczarek i kilkanaście mniejszych pieczarek usiekać jaknajdrobniej. Cebulę utrzeć na tarce, przesmażyć z łyżką masła, dodać pieczarki, dalej dusić razem, wyspać łyżkę mąki, zasmażyć, następnie dodać tyle śmietany lub dobrego rosolu, aby masa była gęsta, jak beszamel. Osolić ją do smaku, odrobinę popieprzyć. Masą tą grubo nakładać grzanki. Na wierzch położyć po całej pieczarce. Posypać tartym serem z bardzo drobno utartą bułeczką. Skropić masłem, w którym się dusiły duże pieczarki, i wstawić na dziesięć minut przed podaniem do pieca. Podawać wprost z pieca, bardzo gorące.

Wszystkie grzanki, w taki sposób pieczone w piecu, są znacznie równiejsze i mniej łatwo się przypalają, niż smażone na patelni.

**RULON Z CIEŁĘCEJ ŁOPATKI.**

Niedużą, białą cielecą łopatkę wymoczyć w całości przez godzin parę w zimnej wodzie. Kości starannie wyluzować, mięso rozłożyć napłask na stolnicy, błonką nazewnątrż; rozbić mocno młotkiem od befszytków, nadać możliwie równy kształt czworoboku. Cały płat równo skropić sokiem cytrynowym, następnie cienko posmarować młodem masłem, dopiero po maśle lekko posolić i posypać odrobiną białego pieprzu. Zwinąć mocno w rulon, obwiązać mocnymi niemi. Na brytfannie lub na patelni zrumienić sporą łyżkę masła czy szmalcu, położyć cielecę, prędko ją ze wszystkich stron zrumienić na dużym ogniu. Podlać kilku łyżkami zimnej wody. Dalej piec wolno, często podlewając sokiem z patelni. Dwukilowa pieczeń potrzebuje się piec około pół godziny; nie powinna być surowa, lecz musi zostać soczysta w środku. Podając, nici zdjąć, pieczeń pokrajać na ładne, równe plastry i podać z kartofelkami, jakąś jarzyną lub sałatą. Jest to wyborny sposób ładnego podania łopatki cielecej, nie dającej się zgrabnie podzielić.

*Pani Elżbieta.*

**Tajemnica elegancji.**

Niejedna z pań, nie posiadając dużego zapasu i wyboru garderoby, ubrana jest mimo to zawsze elegancko. Jest to przede wszystkim zasługa starannego utrzymania bielizny i sukien, które temwięcej zyskują na wygładzie, im lepiej są wyprane i wyprasowane. Ażeby to osiągnąć, najlepiej używać do prania płatków mydlanych. *Lux*, których łagodna i obfita piana przenika tkaninę, usuwając z niej szybko i bez trudu brud. *Lux* nadaje się specjalnie do prania rzeczy delikatnych jak wszelkiego rodzaju przybrania do sukien, koronkowych i jedwabnych kolnierzyków i mankietów, wstążek i t. p. Te dodatki muszą mieć zawsze świeży i czysty wygląd, aby modnie i elegancko przystrój garderobę.

*Należy jednak zwrócić baczną uwagę na to, że Lux jest do nabycia tylko w oryginalnych paczkach, nigdy luzem.*

**WARUNKI PRENUMERATY**

w kraju oraz do Ausirji, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.  
Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9,  
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”. Ryńska 8, tel. 244-18.